

Lustra Chaosu „Odbicie, które nie wróciło. Poszukiwania Arabelli”

Autor: Accurate “Accu” Memory

Korekta: Vulture

Prolog — Poszukiwania Matki

WĄTEK: „Ktokolwiek widział Arabellę?”

forum szkolne / rodzice i opiekunowie / zaginięcia

Autorka: @MatkaArabelli

Tytuł: *Nie przyszła do domu. Co się dzieje?!*

Treść:

Moja córka Arabella nie pojawiła się w domu od trzech dni.
Szkola twierdzi, że „wszystko w porządku”, ale nikt nie odpowiada na moje pytania.
Jej szafka była otwarta, rzeczy zniknęły, a ja... nie wiem, co mam robić.
Jeśli ktoś cokolwiek wie — **blagam** o kontakt.
Ona może wyglądać twardo, ale to tylko poza.
To jeszcze dziecko. Moje dziecko.

Czy ktoś ją widział? Ostatnio rozmawiał?

@nauczycielka.alchemii

Pani Arabello, rozumiem zaniepokojenie.
Z naszej strony wszystko zostało zgłoszone — Arabella nie pojawiła się na zajęciach od wtorku, ale z uwagi na jej wcześniejsze zachowania niezależne i częste nieobecności... uznaliśmy to za kolejny bunt.
Proszę się nie martwić. Z pewnością wkrótce wróci.
(PS: Karta obecności została zawieszona z powodu braku jasności.)

@OjciecJadwigi

Też się martwię, ale szczerze? Moja córka wróciła ze szkoły... spokojniejsza.
Mówiła, że „wreszcie może odetchnąć”.
Nic więcej nie chciała powiedzieć.
Co się tam dzieje?

@kucyk_bez_głosu (uczeń)

Przepraszam, że piszę. Ale ona mnie popychała.
Raz zamknęła mnie w magazynku i udawała, że nic nie wie.

Nikt mi nie wierzył.
Wiem, że to nieładnie, ale... może ktoś wreszcie usłyszał mój głos.

@Rosalyn.Milczenie

To nie jest sprawa dla policji.
Ani dla kamer.
To sprawa ciszy, którą zbyt długo nikt nie przerwał.
Ona nie zniknęła nagle.
Znikała... kawałek po kawałku.
Aż została tylko poza.
I echo.

@Meadow.Szept

Kiedys się śmiała, że nasze łzy są tylko bajką.
Że lusterka nic nie znaczą.
A teraz wszyscy patrzą w jedno lustro.
I pytają: gdzie ona?

Odpowiedź jest prosta.
Tam, gdzie nie patrzyła.

@Camel (zablokowane konto)

[Ten wpis został usunięty przez moderatora.]

@Iris.cienie

Nie szukajcie mnie.
Nie rozpoznacie.
Czasem siedzę w waszej klasie.
Czasem rysuję na ścianie.
A czasem podaję komuś karteczkę z napisem „pamiętaj”.

Arabella się nie zgubiła.
Po prostu przestała odbijać światło.

Czy to zbrodnia — dać komuś jego własne odbicie?

Nie płaczcie. Nie teraz.
Tylko patrzcie.
Bo nie każdy cień się oddala.
Niektóre zostają.
We mnie.

Moderator: @ForumCiszy

Wątek tymczasowo zamknięty z powodu emocjonalnego napięcia i braku dowodów.

Jeśli ktoś ma informacje o lokalizacji Arabelli — prosimy o kontakt prywatny.
Prosimy nie podsycać paniki.

WĄTEK: Czy ktoś jeszcze czuł to zimno w skrzydle B?

forum uczniowskie / dziwne zdarzenia / zachodnie korytarze

@JaxaNieŚpi

To pewnie tylko przeciąg.

Ale... nie wiem.

Wczoraj wieczorem zesłałam po zeszyt i przez chwilę miałam wrażenie, że coś się poruszyło przy lustrze koło sali muzycznej.

Nie odbicie.

Cień, jakby ktoś za mną stał.

Ale nikogo nie było.

I ktoś zostawił tam kartkę.

Nie ruszałam jej, ale wyglądała znajomo.

Wiem, że nie powinnam się mieszać, ale...

Jeśli to o Arabellę chodzi...

Przepraszam.

Może kiedyś też mogłam coś powiedzieć.

Ale się bałam.

(wiadomość edytowana 2x)

@Iris.cienie

A chcesz znowu do lusterka, Jaxa?

Tym razem mogę je ustawić niżej.

Żebyś nie musiała wspinać się na palce.

Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy patrzą — a potem udają, że nie widzieli.

Ale możesz jeszcze milczeć.

Milczenie to bezpieczne miejsce.

Póki jesteś po tej stronie.

1 zgłoszenie

Komentarz został oznaczony jako „delikatny” przez system. Użytkownik Iris.cienie nie został zablokowany — brak jednoznacznego naruszenia regulaminu.

WĄTEK: Czy ktoś jeszcze czuł to zimno w skrzydle B?

forum uczniowskie / dziwne zdarzenia / zachodnie korytarze

Załączono plik: **obraz_0983.jpg**

Miniaturka: Dziewczynka w długim swetrze siedzi tyłem, ale w lusterku odbija się jej twarz. Uśmiecha się — zbyt spokojnie. W rękach trzyma lusterko kieszonkowe, popękane. Cień na ścianie za nią ma zbyt długie kopyta.

@N4tti_x

Kto to wrzucił?

Serio.

To... wygląda jak z wczoraj.

Tylko... przecież tam nikogo nie było.

Przecież korytarz był pusty.

I to lustro...

To **tam**, gdzie ostatnio widzieli Arbellę, prawda?

@Veko.7

Ej.

Ej.

To ja zrobiłem to zdjęcie?

Nie pamiętam tego.

Ale to moje konto.

I najgorsze: ta dziewczynka... wygląda jak ja.

Ale ja **nie mam takiego swetra**.

I nie trzymam przy sobie lusterek.

Czy ktoś coś edytował?

Proszę, powiedzcie, że to żart.

@Iris.cienie

Każde lustro wybiera swoje odbicie.

Nie zawsze ty w nie patrzysz.

Czasem ono patrzy za ciebie.

Pamiętaj, Veko.
Jeśli w galerii **coś cię poznaje...**

...to znaczy, że już raz tam byłeś.

(Nie musisz pamiętać. Wystarczy, że wyglądasz znajomo.)

Systemowa notatka:

Zdjęcie obraz_0983.jpg zostało tymczasowo ukryte do weryfikacji.

Brak metadanych. Brak źródła. Oczekuje na decyzję moderatorów.

SCENA: Cisza w sali komputerowej

Meadow weszła do sali informatycznej późno, kiedy światła w większości klas już pogasły. Świetlówki tu nie brzęczały — były martwe. Tylko pojedynczy rząd monitorów tlił się chłodnym światłem, jakby i one były zamyślane.

Wybrała stanowisko przy oknie. Znała je — to samo, przy którym kiedyś Iris narysowała wirujący wzorek na rogu ekranu, zostawiając po sobie spiralę w zakładkach przeglądarki.

Meadow usiadła powoli. Nie spieszyła się. Właściwie nie wiedziała, po co przyszła. Ale gdy zobaczyła tytuł wątku — „*Zawsze razem (PRAWDA)*” — jej serce zrobiło coś dziwnego. Zesztywniało, jakby chciało się ukryć pod żebrami.

Kliknęła. Przeczytała całość. Potem jeszcze raz.

I jeszcze.

Nie znała Arabelli dobrze. Ale znała jej śmiech — ten, którym kiedyś zakryła płacz tamtej drobnej uczennicy z 2A, gdy przypadkiem rozlała sok. Znała ten śmiech aż za dobrze.

W końcu otworzyła pole komentarza.

Zastanawiała się, czy napisać coś chłodnego. Racjonalnego. Ale palce miały inny plan.

To nie była bajka.

Arabella naprawdę myślała, że nikt jej nie dotknie, bo była śmieszna.

Ale śmiech też może kogoś skrzywdzić.

Może... to jest nauczka dla nas wszystkich?

Zamrugnęła. Nie poprawiała. Nie cofała. Kliknęła „opublikuj”.

I wtedy — kątem oka — zobaczyła coś.

Drzwi do sali były uchylone. A w świetle z korytarza, niemal niezauważalnie, przesunęła się postać.

Mała klaczka.

Sweter, który miała na sobie, był za duży. Kolor jakby wyblakły. Zbyt długi rękaw zsunął się z kopytka. Szła powoli, prawie bezgłośnie. Nie patrzyła na Meadow. Ale... Meadow wiedziała.

To nie była zwykła uczennica.

To była **ona**.

Iris. Albo to, co z niej zostało.

Przez sekundę dziewczynka się zatrzymała. Jej spiralne oczy, ledwie widoczne w półmroku, zawirowały, ale nie groźnie. Raczej jak liście niesione jesiennym wiatrem.

Potem ruszyła dalej. Cicho. Jakby nic się nie stało. Jakby tylko przeszła obok — cień wpisu, echo czułości, która już nie wie, czy jest miłością, czy wspomnieniem.

Meadow siedziała w ciszy jeszcze długo po tym, jak drzwi zamknęły się z miękkim kliknięciem.

Nie wstała od razu.

Bo teraz już wiedziała.

Nie wszystko, co odchodzi... naprawdę znika.

WĄTEK: „Galeria” – Ku przestrodze.

Autorka: *Iris (tak, ta Iris)*

Oznaczenie: Ostrzeżenie emocjonalne // kontakt z chaosem // trauma lustra

Komentarze: Otwarty wątek

Status: *tabu złamane*.

Nie miałam zamiaru pisać tego wprost.

Wystarczyły legendy. Strach. Kilka szeptów w szatni.

Ale najwyraźniej to nie działa. Bo niektórzy z was śmieją się dalej. Mówią, że mnie *nie ma*. Albo, że jestem tylko historią. Cieniem.

Więc pozwólcie, że opowiem wam bajkę.

Nie bajkę dla dzieci.

Bajkę dla tych, którzy zapomnieli, co to jest granica.

Nie chciałam tego.

Ostrzegałam ją. Tak samo jak Jaxę. Jak Meadow. Jak ciebie, jeśli teraz to czytasz.

Nie jestem potworem.
Nie jestem zbawieniem.

Jestem tylko tym, co zostaje, gdy *za długo się patrzysz* w taflę i próbujesz udawać, że widzisz siebie.

[Załącznik: „Odbicie”]

Zdjęcie przedstawia dwie klaczki – identyczne. Jedna po każdej stronie pulsującej tafli. Światło jest rozmazane. Jakby oddychało. Nie wiadomo, która to „prawdziwa”.

W środku Galerii nie ma krzyku.
Nie ma też światła.
Tylko *miętkość*.

Miętkość śmiechu, który na końcu brzmi jak błaganie.
Miętkość kopytki, które dotyka tafli i nie wraca.
Miętkość wspomnienia, które zostaje po tobie — gdy ty już nie zostajesz.

Nie jestem dumna z tego, co się stało z Arabellą.
Ale nie żałuję.
Bo *błagała o ciepło, a odrzucała wszystkie ostrzeżenia*.

Jeśli to czytasz i nadal myślisz, że to gra —
jeśli nadal śmiejesz się, kiedy ktoś płacze —
jeśli nadal mówisz, że *Iris to tylko postać w bajce...*

...to znaczy, że lusterko już się dla ciebie otwiera.

Nie napiszę więcej.

Nie potrzebuję.

Patrzcie sobie.
Pamiętajcie.
Albo nie.

Wasza
Iris

Komentarze (posegregowane chronologicznie):

@Blue_Ridge (pedagog szkolna):

Iris... to nie jest miejsce na... opisywanie tego rodzaju *doświadczeń*. Jeśli czujesz, że coś cię boli — naprawdę, możemy porozmawiać. Ale publiczne... przedstawianie siebie jako sprawczyni zaginięcia Arabelli...

To poważne. Bardzo poważne.

@Stablke.3A:

Ej, to jest fejk, prawda? Jak ktoś mógł zrobić takie zdjęcie? Dwóch takich samych klaczek? To jak z horroru. CGI czy co?

@angie.iris:

Jaja sobie robicie z Arabelli? Ktoś widział ją ostatnio? Mówię serio. Były ploty, że przestała przychodzić na zajęcia i nikt nic nie zgłosił.

Jeśli to *nie jest bajka*, to ktoś powinien coś z tym zrobić.

@Mr_Potion (nauczyciel chemii):

Arabella była u mnie ostatnio na kółku. Pamiętam dokładnie, bo przyniosła próbkę bezpiecznego brokatu (śmiejcie się). Ale to było... dwa tygodnie temu? Trzy?

@Jaxa.3B (z konta alt):

...

Nie wiecie, co widziałam.

Może nie byłam lepsza. Może nawet gorsza. Ale ona ostrzegała. Pokazała mi to lustro. Pokazała, jak to boli, kiedy twoje imię... się oddziela.

@Iris...

Chcesz znowu do lusterka, Jaxa?

Nie... Proszę. Nie.

(komentarz usunięty przez autora)

@meadow.glow:

To nie była bajka. Arabella naprawdę myślała, że nikt jej nie dotknie, bo była śmieszna.

Ale śmiech też może kogoś skrzywdzić.

Może... to jest nauczka dla nas wszystkich?

@anon_posto:

Patrzcie, jak nikt się nie zorientuje.

...to był najgorszy fragment.

Od tygodnia mam wrażenie, że ktoś w moim lustrze nie odbija się tak samo. Że czasem rusza głową, zanim ja to zrobię.

@rosaline.mirror:

Nie wiem, czy jeszcze jesteś ty, Iris.

Ale wiem, że próbowałaś ją zatrzymać na końcu.

I chyba właśnie dlatego ci nie nienawidzę.

@Blaze.4C:

Moja siostra знаła Arabelle z klasy tanecznej.

Mówiła, że śmiała się zawsze z tych, którzy mieli smoczki. Że była dumna, że „już jest duża”.

Może naprawdę chciała być większa, niż była. A Iris... tylko jej pokazała, co to znaczy być samemu.

@admin.system:

Wątek oznaczony jako kontrowersyjny i potencjalnie szkodliwy.

Prosimy o zachowanie ostrożności przy komentowaniu.

Użytkowniczko „Iris”, twoja historia zostanie oceniona pod kątem zgodności z regulaminem

SCENA: „Nie każda się śmieje” — Rosaline pisze

Sala informatyki była cicha. Zbyt cicha jak na popołudnie po zajęciach. Nie było klikania, szeptów, śmiechów. Nie było też nikogo oprócz jednej postaci — Meadow, która właśnie wstawała od terminala, jej cień zawahał się chwilę na podłodze, nim zniknął za drzwiami.

Rosaline weszła ostrożnie, jakby szukała śladów. Ale nie tych fizycznych. **Ciepła na klawiaturze. Lekko otwartego portalu. Zapachu czegoś, co dopiero co zgasło.** Była dobrą słuchaczką – nie słów, tylko miejsc. I miejsce to... mówiło.

Stała przy jednym z komputerów. Ekran był wygaszony, ale port dziennika nadal otwarty. Iris wylogowała się — jak zawsze — idealnie. Zbyt perfekcyjnie.

Rosaline nie usiadła od razu. Spojrzała przez okno. Zobaczyła swoje odbicie — blade, niepewne, jakby szkło chciało je odsunąć. Przypomniała sobie śmiech Arabelli. Tę ostrość w jej pysku, która zawsze coś kryła.

Nie była pewna, co napisać. Nie była nawet pewna, czy powinna. Ale w końcu usiadła. Wpisała swój login. I stworzyła nowy wątek.

WĄTEK: „Nie każda się śmieje”

Autorka: Rosaline

Oznaczenie: Wspomnienie // brak przemocy // uczennice

Komentarze: otwarty

Status: nie do usunięcia

Nie chcę was straszyć. Nie potrafię tak jak Iris.

Nie mam słów, które tną. Mam tylko cienie — te, które zostają po śmiechu. I po jego braku.

Byłam tam, kiedy Arabella śmiała się po raz ostatni.

Nie zginęła krzykiem. Zginęła ciszą.

Nie dlatego, że Iris ją zniszczyła.

Tylko dlatego, że nikt jej nie zatrzymał.

Bo nikt nie wierzył, że śmiech może być bronią.

Że można nim kogoś uciszyć.

Myślicie, że to bajki. Ale bajki są prawdziwe.

Zawsze były. Tylko nie takimi słowami, jakich używają dorośli.

Arabella nie była potworem.

Ale zrobiła wszystko, żeby nim być w oczach słabszych.

I zrobiła wszystko, by nie usłyszeć głosu Iris.

A Iris... nie jest potworem też.

Jest tylko lustrem, które nie przymyka już oczu.

Nie piszę tego, by usprawiedliwiać.

Piszę, żebyście zrozumieli, że nie każda się śmieje.

Nie każda po prostu „sobie poradzi”.

I że nie każda dziewczynka znika.

Niektóre zostają.

We mnie.

W tobie.

W tym lusterku, którego boisz się otworzyć.

Nie musicie komentować.

Ale jeśli kiedyś ktoś się znów zaśmieje w waszej twarzy,

i poczujecie, że to boli —

to znaczy, że pamiętacie.

A to wystarczy.

– Rosaline

Komentarze pod wątkiem „Nie każda się śmieje” – Rosaline

@meadow.glow

Byłaś jedyną, która widziała to wszystko od początku.

Dziękuję, że napisałaś.

Ja... ja też czasem słyszę śmiech, który nie ma ust.

@Linn.Chem.1

Czyli Arabella naprawdę zniknęła? Czy to jakaś forma... metafory?

Nie wiem, co myśleć. Ale ten tekst... nie daje spokoju.

@angie.iris

Ja myślałam, że to tylko sposób Iris na straszenie dzieci. Ale ty nie straszysz.

Ty pamiętasz.

I to gorsze.

@Blue_Ridge

Rosaline...

Jestem z ciebie dumna.

Nie za to, co napisałaś —

za to, że nadal potrafisz czuć.

@anon_nightmare

Dziwne, ale po tym wpisie zaczęłam mieć wrażenie, że *to lusterko w łazience na drugim piętrze... ono mnie zna*.

Nie wiem, co z tym zrobić.

@Blaze.4C

„Nie każda się śmieje” — te słowa powinny wisieć nad wejściem do szkoły.

Może ktoś by się wtedy zatrzymał.

Rosaline spojrzała na ekran jeszcze raz.

Nie czuła ulgi.

Nie czuła dumy.

Ale czuła coś, co przypominało... oddech. Jakby jej własne odbicie przestało wreszcie z niej spływać.

Zamknęła przeglądarkę. Odsunęła się od komputera. Powoli, bez pośpiechu.

I wtedy to poczuła.

Cień.

Nie ciężki.

Nie groźny.

Po prostu... obecny.

Odwróciła się.

W przejściu — nie było drzwi, nie było dźwięku kroków — stała **klaczka**. Zbyt drobna, zbyt znajoma.

Sweter był o kilka rozmiarów za duży.
Kopytka czyste, ale jakby pokryte pyłem z innego miejsca.
Oczy spiralne. Ale... ciepłe. Choć cień czał się w ich głębi.

Iris.

Ale nie tylko.

To była **Screwball**.

A może ktoś pomiędzy.

– „*Mówiłaś, że mnie to zmieni...*” – odezwała się cicho, jakby kontynuowała rozmowę, która kiedyś została przerwana.

Rosaline patrzyła długo. Nie z lękiem. Z uwagą.

– „*I zmieniło.*”

Iris uniosła lekko brwi. Zbliżyła się do światła monitora, które jeszcze nie zdążyło całkiem zgasnąć.

– „*Ale tylko na chwilę.*” – dodała. – „*Już wiem, jak wrócić.*”

Rosaline skinęła głową.

Bo wiedziała, że mówi prawdę.

Bo **nauczyła się słuchać nawet tych, których wszyscy już uciszyli.**

I wtedy Iris odeszła.

Bez dźwięku.

Bez tafli.

Tylko z cieniem, który — choć obecny — nie był już groźbą.

Tylko przypomnieniem.

Iris zatrzymała się w pół kroku.

Nie odwróciła głowy.

Nie trzeba było.

Światło monitora zamigotało, jakby złapało oddech. Cień, który wcześniej był miękki, teraz... wydłużył się. Ale tylko na moment.

– „*Nie głód odbić był problemem.*” – powiedziała cicho. – „*Tylko głód bycia zobaczoną.*”

Jej głos był spokojny. Nieobecny już ten szmer śmiechu, który kiedyś brzmiał zbyt głośno w pustych salach.

– „*Lustra nigdy nie chciały więcej. To ja... nie umiałam przestać szukać potwierdzenia, że istnieję.*”

Rosaline wstrzymała oddech. Serce — choć miała je oswojone — zabiło mocniej.

I wtedy Iris się odwróciła.

Nie jak potwór. Nie jak cień.

Jak dziecko, które... *wróciło zbyt daleko*.

Oczy spiralne już się nie kręciły. Drżały.

W nich nie było chaosu.

Była... **pamięć**.

— „Już nie muszę ich karmić.” — szepnęła. — „Bo ktoś mnie zobaczył. I nie odwrócił wzroku.”

Podeszła bliżej.

Nie groźnie. Nie z mocą.

Po prostu — tak, jak klaczka, która znalazła drogę do wyjścia.

— „A Arabella?” — zapytała Rosalyn raz jeszcze. — „Czy ona... nadal tam jest?”

Iris przymknęła oczy.

— „Nie jestem już Galerią, Roz.” — odparła. — „Ale jedno ci powiem.”

Pochyliła się. I dotknęła czoła Rosalyn swoim. Tak, jak robiły to dawno temu. W czasie, który nie miał chaosu.

— „Nie każdy, kto znika... znika na zawsze.”

Potem się odsunęła. Uśmiechnęła — miękko.

I po prostu wyszła z sali informatycznej.

Zostawiając po sobie echo. Nie śmiechu.

Tylko **pokoju**.

I ostatnie światło ekranu —

wiadomość, którą napisała, już zniknęło.

Został tylko jeden, ostatni wpis — **komentarz pod postem Rosaline**:

@Iris:

Nie każdy śmiech rani.

Ale ten, który zapomina, że ktoś inny może nie śmiać się z tobą — tylko przez ciebie —

ten buduje lustro.

Dziękuję, Roz.

Nie za obronę.

Za to, że patrzyłaś.

I za to, że nigdy mnie nie nazwałaś potworem.

Cień, który się uczy

Night Shade znał tę historię na pamięć.

Nie wersję szkolną.

Nie bajki.

Nie ostrzeżenia.

Tę prawdziwą — napisaną przez Meadow, jedyną, która widziała wszystko i nadal chciała patrzeć.

Tę, która zaczynała się tak prosto:

„Była sobie klaczka, którą dzieci widywały w lustrach. Nie zawsze. Ale wtedy, gdy było za późno na nauczycieli i za wcześnie na łązy.”

Night Shade przeczytał to piętnaście razy.

Za szesnastym — coś zadrgało w nim inaczej.

Nie jak fascynacja.

Jak wołanie.

A potem natknął się na coś więcej.

Fanowskie opowiadania. Spekulacje. Teorie.

I jedno, które pamiętał najlepiej: to, które Oliwia opowiedziała Jasmine. O baletnicy. O smoczku.

O spojrzeniu w serce.

I wtedy zrozumiał.

Iris nie była tylko dziewczynką.

Nie była też potworem.

Była pytaniem.

Takim, którego nikt nie chciał usłyszeć.

I on... pragnął usłyszeć je całe.

Tego dnia, gdy szkolne korytarze pustoszały, a dźwięki dzwonka rozlewały się jak echa starego rytuału, Night Shade zobaczył ją. Klaczkę w sweterku. Zbyt dużym, zbyt wygodnym, jakby nosił wspomnienie, nie ubranie.

Szła wolno, jakby znała każdy kafelek, każdą rysę na ścianie.

Rosalyn mijala ją z drugiej strony. Zatrzymała się tylko na moment, jakby coś wyczuła. Ale nie spojrzała w cień.

A Night Shade był tam już wcześniej.

Rozpłynął się w smugę cienia pod kopytkiem klaczki. Nie jak duch, nie jak mag. Jak cień, który wie, jak pachnie odbicie.

Szli razem.

Kopytko. Cień.

Kroczek. Szept.

Nie odezwał się. Jeszcze nie.

Ale w jego głowie szumiały słowa, które znał na pamięć.

„Wiesz, jak rzadko mam tu u siebie gości?”

„Razem, siostrzyczko...”

„Chcesz do lusterka?”

Nie powtórzył ich. Nie ośmielił się.

Jeszcze nie.

Bo musiał poczekać na moment, w którym klaczka — Iris — się zatrzyma.

W którym spojrzy przez szybę.

I powie coś nowego.

Coś... dla niego.

A wtedy on odpowie.

Nie jako uczeń.

Nie jako ofiara.

Ale jako ten, który... rozumie.

I może — którego ona też kiedyś nazwie **bratem**.

Pierwsze lusterko

Cień przesuwiał się cicho, przyklejony do korytarza.

Night Shade był już tak blisko, że słyszał oddech klaczki w sweterku.

Ale nie oddychała jak ofiara. Ani jak łowca.

Oddychała... jak echo.

Zatrzymała się przy bibliotece.

Nie weszła. Poczekala.

Po chwili — z końca korytarza — nadeszła uczennica. Młodsza. Trochę zbyt głośna w krokach, trochę zbyt pewna siebie. Na szyi miała lśniący identyfikator — nowicjuszka z programu uzdolnionych.

Nie zauważyła Iris.

Zignorowała ją tak samo, jak zapewne zignorowała karteczkę dzień wcześniej — ten pierwszy znak:

Rysunek lustra z pęknięciem.

Ślad łyż.

Słowo „pamiętaj”.

Iris nie musiała jej zatrzymywać.

Dziewczynka sama się zatrzymała — gdy usłyszała coś, co nie było głosem.

To był szept bez dźwięku.

Odwróciła się.

I wtedy zobaczyła ją.

Klaczkę w za dużym sweterku.

Stojącą jakby przypadkiem.

Zbyt nieruchomą, by być zwykłą.

— Widziałam, że nie przeczytałaś — powiedziała Iris, spokojnie. — Karteczki, tej z lustrem.

Dziewczynka się cofnęła o krok, udając niezrozumienie.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Wiem, że wiesz. — Iris uśmiechnęła się lekko. — I że próbujesz robić to, co wszyscy.

Udawać, że to bajka.

Ale wiesz, co jest gorsze od bajki?

Wyciągnęła coś z kieszeni.

Mały przedmiot. Delikatny.

Lusterko.

Ale nie takie zwykłe. Nie dawało odbicia.

Tafla drżała jak błona. Jak powierzchnia snu.

I przez ułamek sekundy... Night Shade zobaczył dwie twarze w środku.

Jedna była dziewczynki.

Druga... nie.

— To jest pierwsze lusterko — szepnęła Iris. — Nie po to, żeby cię zabrać. Tylko po to, żebyś mogła zobaczyć, co cię czeka... jeśli nadal nie będziesz patrzeć.

Dziewczynka nie ruszyła się. Nie odebrała lusterka.

Ale ono samo zadrżało i zawisło w powietrzu.

Zobaczyła coś. Nikt inny nie mógł.

Ale jej pysk zbladł.

Duma zgasła.

Iris nie uśmiechała się już.
Nie musiała.

Ostrzeżenie zostało przekazane.
Nie siłą.
Nie krzykiem.

Tylko obrazem.
Pierwszym odbiciem.

A potem... lustro zniknęło.
Dziewczynka — drżąca — odeszła w milczeniu.

Iris została sama.

A raczej... tak myślała.

Bo Night Shade, ukryty w cieniu jej kopytka, patrzył dalej.

I teraz już wiedział.
Legendy nie były przesadzone.
Były... uprzejme.

Cień, który słuchał

Night Shade znał zasady bycia cieniem.
Nie oddychasz. Nie błyszczysz.
Nie robisz fal w wodzie.

Ale teraz...
To nie on był cieniem.

To korytarz zgaś za Iris.

To światło załamało się pod jej kopytkami, jakby nie wiedziało, gdzie ją umieścić — w prawdzie czy odbiciu.

Nie odwróciła się.
Nie szukała go wzrokiem.

A jednak...

— To dobrze, że nie zadajesz pytań — powiedziała cicho, półgłosem, do pustki. — Pytania zabijają tajemnice. A ja... lubię tajemnice.

Zamilkła.

A potem, zupełnie naturalnie — jakby tylko skręcała za róg —
zniknęła w ścianie.

Nie była to ściana z cegieł.

To było przejście, które znały tylko lustra.

Tylko ci, którzy już raz spojrzeli za długo.

Night Shade nie zawahał się.

Wślizgnął się tuż za nią — jego cień wtopił się w gładką taflę, która nie dawała odbicia. Tylko wewnątrz.

I nagle był tam.

W Galerii.

W miejscu, gdzie cisza nie była ciszą, tylko pamięcią.

Każde echo było powtórką.

Każdy oddech — testem.

I w tej ciszy, nie z jego głowy —

ale z samych ścian —

rozległ się głos.

Najpierw pojedyncze słowo:

— Pamiętaj...

A potem kolejne:

„Wiesz, jak rzadko mam tu gości?”

„Pobawimy się?”

„Chcesz do lusterka?”

„Razem, siostrzyczko...”

Każde słowo miało inny ton. Inny kolor.

Ale wszystkie były jej.

Screwball. Iris. Cień bez granicy.

A potem z mroku wyłoniła się ona.

Nie zaskoczona.

Nie gniewna.

Uśmiechnięta.

— No i przyszedłeś, — powiedziała miękko. — Każdy cień w końcu szuka światła.

Albo choć... jego wspomnienia.

Podniosła coś z podłogi.

Małe lusterko — puste.

Jeszcze niczego nie odbijało.

— Nie musisz odpowiadać, Night Shade — szepnęła. — Ale jeśli chcesz poznać więcej moich cytatów...

...musisz najpierw posłuchać swoich.

Galeria już czeka.

Scena: Pierwsze lustro, pierwsze pytanie

Gładka tafla pod kopytami przypominała zamarzną wodę — nie tyle śliską, co czujną. Pachniało tu kurzem zamkniętych pudełek, starym papierem z dziecięcych dzienników i... czymś jeszcze. Jakby echo wspomnienia o lawendzie, które nie pamięta, skąd pochodzi.

Klaczka w za dużym sweterku przystanęła na środku sali. Nie spojrzała jeszcze za siebie. Jej ogon uniósł się lekko, jakby coś wyczuła — cień, który przestał być tylko cieniem. Obecność, która nie należała do pustych lusterek. Znała ten oddech. Ktoś szedł za nią.

— Nie sądziłam, że przyjdiesz aż tak daleko. — Jej głos był łagodny, niemal senny. — Ale to dobrze. Lubię, gdy ktoś idzie za mną cicho.

Cień to najlepszy słuchacz.

Dopiero teraz się odwróciła. Spiralne oczy — wciąż powolne, jak hipnotyczne wachlarze wspomnień. Jeden z rękawów sweterka zsunął się z kopytka. Uśmiech, który się pojawił, był miękki jak wata cukrowa... ale coś w nim drgało. Jakby to nie Iris się uśmiechała — tylko wspomnienie kogoś, kto kiedyś był nią.

Jej spojrzenie padło na chłopca, który skrywał się w cieniu. Na ogierka o ciemnej grzywie i oczach, które próbowały udawać, że nie drżą.

— Wiesz, jak mam na imię, prawda?

Jakie lubię gry.

Jakie mam smoczki. — Ton był spokojny, ale nieznoszący ucieczki.

Zrobiła krok naprzód. Nie groźny. Dziwnie... bliski.

— To teraz powiedz mi, Night Shade...

Czy jesteś tu, bo się boisz?

Czy dlatego, że... chcesz zrozumieć?

Unosiła jedno z drobnych lusterek. Zawisło między nimi — na niewidzialnej nici. Odbicie ogierka pojawiło się w nim z opóźnieniem, jakby samo lustro nie było pewne, czy pozwoli mu się zobaczyć.

Night Shade przełknął ślinę, ale nie cofnął się jeszcze.

— Czytałem... Czytałem bardzo wiele... — odparł z fascynacją, której nie mógł ukryć.

— Śledzę forum szkolne od dawna.

Kopytka mu drżały, ale w oczach wciąż paliło się światło ciekawości.

— A to co zrobiłaś z tą prymuską... Tą z "programu uzdolnionych"...

Zrobił cudzysłów kopytkami.

— Widziałem, jak zbladła... — urwał, bo teraz sam stał naprzeciw tafli.

Dotknął jej kopytkiem.
I cofnął je natychmiast. Lustro było... inne.

— Twoje lustra zawsze są takie zimne?
Dlatego ta klaczka tak pobladła?
A może, ona też usłyszała, że chce się pobawić?

Spojrzał jej w oczy. A potem... zadrżał.
— Jesteś Iris?
Czy mam cię nazywać... inaczej, twoim prawdziwym imieniem, Władczyni Chaosu?

Iris nie odpowiedziała od razu. Spojrzała tylko na jego kopytko — to, które przed chwilą dotknęło lustra. Uśmiech wrócił, ale tym razem był jak liść unoszący się nad wirującą wodą. Delikatny na powierzchni. Pod spodem — prąd.

— Nie każde lustro jest zimne, — szepnęła miękko, głosem, który otulał jak aksamit.
— Niektóre... są po prostu zbyt szczere.

Zawiesiła lustro z powrotem. Teraz unosiło się między nimi, drgając, jakby słyszało bicie ich serc.

— Program uzdolnionych. Prymuska. Arabella.
Ona nie pobladła przez zimno.
Ona zbladła... bo zrozumiała, że już nie gra.
Że nie da się oszukać lustra.

Cisza zapadła nagle, jakby ktoś zgasił światło w sercu sali.
A potem — jedno zdanie. Tak lekkie, że niemal nie do zniesienia:

— Powiedziałeś „pobawić się”?
To moje ulubione słowa.

Spojrzała prosto w niego. Spiralne oczy — teraz niemal nieruchome. Usta bez uśmiechu. Czekala.

— Iris. Screwball. Dziedziczka Chaosu.
To wszystko imiona.
Ale wiesz... prawdziwe imię to to, które wypowiadasz, gdy boisz się najbardziej.

Zbliżyła się tak blisko, że Night Shade poczuł zapach papieru, kurzu... i czegoś znajomego. Lawendy?

— Więc... jak mam ci się dziś przedstawić, Night Shade?
Jako ta, która bawi się lustrami?
Czy ta, która wie, że ty też... chcesz mieć swoje?

I wtedy chłopiec pękł — nie na głos, nie łzami, tylko pytaniem. Takim, które wypala się w środku.

— Ale, Arabella przepadła... To ty ją naprawdę porwałaś?
Ten obrazek w poście... Ten z dwiema klaczkami, po obu stronach... Identy...

Ogierek zadrżał. Kopytko zawisło w powietrzu.

Zrozumiał.

Oni też stali teraz po przeciwnych stronach lustra.
Dokładnie jak wtedy... Arabella i Iris.

Jej oczy mogły to wyczytać. Przełknięcie śliny. Błysk zrozumienia.
A wraz z nim — strach.

Bo Night Shade zaczął się domyślać, co mu może grozić.

Scena: Gdy lustro milczy z tobą

Iris nie zrobiła ani kroku w jego stronę. Ale coś w niej się zmieniało — niewidzialnie, niemal niedosłyszalnie. Może to był cień pod oczami. Może oddech, który przestał być rytmiczny. A może po prostu sposób, w jaki patrzyła. Jej spojrzenie nie było groźne. Było przejmujące.

Zbyt skupione.

Zbyt znajome.

Jakby widziała w nim więcej, niż sam chciał pokazać.

— Nie porwałam jej. — powiedziała miękko, bez śladu uśmiechu.

— Ona... przyszła.

Zignorowała ostrzeżenia. Kartki. Lusterko.

Nawet słowa Rosalyn.

A potem — spojrzała na mnie, i... nie widziała już nic.

Słowa zawisły w przestrzeni. Nie spadły, nie rozeszły się echem — tylko zadrgały razem z lustrem, które unosiło się między nimi. Jakby westchnęło. Jakby zapamiętało tamtą chwilę.

— To nie było porwanie. To było zaproszenie.

Do prawdy.

Do tego, co zostaje, kiedy już nie masz masek.

Kiedy śmiech to nie broń.

Kiedy jesteś tylko... sobą.

Jej głowa przechyliła się lekko. Spojrzenie spłynęło po jego uniesionym kopytku, dotąd napiętym jak przed ucieczką. Iris patrzyła delikatnie. Jakby próbowała nie spłoszyć małego zwierzęcia.

— Wiesz, ilu takich jak ty już przyszło?

Głos był spokojny, ale skrywał ciężar.

— Zafascynowanych. Oczarowanych.

Czytali wszystko.

Cytowali moje słowa.
Myśleli, że rozumieją.
A potem... lustro ich pytało: „Kim jesteś?”
I nie mieli czym odpowiedzieć.

Nie zrobiła kroku w jego stronę. Zrobiła półkrok w bok. Jakby robiła miejsce. Jakby chciała, by to on zdecydował, gdzie stanie.

— Night Shade... ja niczego ci nie zrobię.
Ale lustro — ono pyta tylko raz.
A jeśli wtedy milczysz...
To ono milczy z tobą.
Na zawsze.

Na te słowa spojrzała na niego inaczej. Nie jak duch, nie jak władczyni chaosu. Tylko jak dziewczynka. Taka, która wie, co to znaczy bać się własnego odbicia. Dziewczynka, która pamięta za dużo.

— Chcesz spojrzeć, prawda?
Ale nie po to, by zniknąć.
Tylko... żeby się upewnić, że wciąż jesteś.

Night Shade nie odpowiedział od razu. Jego pysk drżał.

— Więc, w taki sposób przepadła? — szepnął w końcu, głosem bez pewności.
— I nie, nie żał mi jej... — dodał, pokazując bliznę przy boku.
— To... to jej sprawka.
No i drewnianej linijki, która uderzyła za silno...

Cisza między nimi zgęstniała.

— Ale skoro było nas tylu,
czemu nikt nie wie o tym miejscu?
Podobno nikt, kto był w środku lustra,
nigdy nie wyszedł...

Zaczął, ale nie skończył.
Bo w jednej z tafli... coś poruszyło się.

Oczy Night Shade'a otworzyły się szerzej, jakby zobaczyły sen, którego nie da się wymazać.

— To prawda, że jej...
Na Celestię... — wyszeptał nagle, tonąc w lustrzanym widmie.
Widział ją.

Nie Arabelle żywą. Nie Arabelle, którą znał.

Widział cień.

Cień odbicia.

Wstrząs przeszedł przez jego ciało. Kopytko opadło. Głos zamarł. Wszystko, co mógł powiedzieć... zniknęło razem z oddechem.

Iris nie zareagowała gwałtownie. Spojrzała w stronę tafli, którą sam właśnie dotknął. Jej oczy nie kryły zaskoczenia. Ani triumfu. Tylko ciężar.

Ciężar wiedzy.

Ciężar odpowiedzialności.

Jakby widziała to już wiele razy. Jakby wiedziała, że prędzej czy później, każde lustro coś zostawia. Każda ofiara — ślad. Cień, który nie potrafi odejść.

— Niektóre odbicia... nie wiedzą, że już ich nie ma.

Szukają reszty siebie.

Wołają.

Ale nikt nie odpowiada.

Bo wszyscy, którzy mogliby...

są już gdzieś dalej.

Albo... uciekli.

Zrobiła krok bliżej. Nie w cień — obok niego. Jakby mówiła: *Jestem tu, jeśli chcesz się odwrócić.*

— To, co widzisz... to nie ona.

To to, co z niej zostało.

Cień, który trzyma się światła.

Jej oczy — te same spirale, które kręciły się niespokojnie — spoczęły teraz na jego znaku. Na bliźnie.

Błysk. Nie współczucia. Nie litości.

Tylko zrozumienia. Jakby знаła ból linii.

— Więc dlatego czytasz.

Dlatego śledzisz mnie.

Bo nie boisz się jej stracić...

...tylko boisz się, że ty mógłbyś zostać po tej stronie.

Cisza.

W lustrze cień Arabelli poruszył głową.

Ale był to tylko cień ruchu.

Bez świadomości.

Bez powrotu.

— Night Shade.

To nie jest miejsce, z którego się wraca.

To jest miejsce, gdzie się decydujesz:

Czy chcesz być tylko czyimś odbiciem?

Czy... znajdziesz własne imię.

I wtedy — spod sweterka — Iris wyciągnęła coś małego. Nie broń. Nie klucz.

Kartkę.

Złożoną, pogiętą. Pokrytą dziecięcym pismem i kolorowym mazakiem.

Na niej był rysunek. Lustreczko.

I jedno słowo.

„Pamiętaj.”

— Daję to tylko tym, którzy jeszcze mogą zawrócić.

Ale tylko raz.

I tylko wtedy, jeśli nie zadasz pytania:

„A co, jeśli jednak spojrzę?”

Spojrzała mu w oczy. Niczym nie groziła. Nie błagała.

Była tylko lustrem.

Lustrem, które czekało na pytanie, które Night Shade zada sam sobie.

Scena: Echo, które nie zapomniało

Tafla była zimna tylko z pozoru. W głębi drgała, jakby coś pod nią oddychało. Jakby czekała.

Cień ogierka stał obok odbicia Arabelli. Stał tak blisko, że granica znikła. Że nie dało się już powiedzieć, który cień należy do kogo.

— A co, jeśli cień nie boi się swojego odbicia? — zapytał Night Shade cicho. Jego głos nie był już tylko głosem. Brzmiał, jakby płynął spod skóry, jakby rozciągał się przez światło i cień równocześnie.

Zaczął się rozpływać. Nie znikać — ale stawać płaski. Przejrzysty. Aż wyglądał niemal tak samo jak Arabella — niemal jej bliźniak. Stali po tej samej stronie tafli, dwie sylwetki bez twarzy, dwa echa, które nie powinny się spotkać.

— Ja już jestem cieniem.

To... okazało się moją mimikrą.

Nie umiem zmieniać wyglądu. Nie do końca.

Ale mogę się wtopić...

Zawiesił głos, spoglądając na Iris — a potem, z nutą niepewności, dodał:

— A karteczka?

Czy nabroilem?

Iris nie odsunęła się. Nie spojrzała ze strachem. Ale przez jej pyszczek przemknęło coś — cień czegoś trudnego do nazwania. Nie był to gniew. Ani zdziwienie. Raczej... rozpoznanie.

Jakby przez moment zobaczyła w nim siebie.

Nie w chłopcu.
W cieniu.

— Nie każdy cień jest pusty. — powiedziała miękko, jakby rozmawiała nie z nim, ale z lustrzanym wspomnieniem.

— Ale każdy cień... kiedyś czymś był.

Zbliżyła się do tafli. Tak blisko, że wystarczyłby jeden ruch, by odbicie się wyrównało. Ale nie poruszyła się dalej. Zawiesiła spojrzenie na jego oczach. Na tych samych, które próbowały ukryć lęk za mimikrą.

— To nie mimikra cię tu przywiodła.
To głód.
Nie tego, co widać.
Tylko tego, co boli — a nikt nie mówi o tym na głos.

W dłoni nadal trzymała kartkę. Teraz uniosła ją. I zawahała się.

Po raz pierwszy od dawna.

— Nie nabroileś.
Jeszcze nie.

Położyła kartkę przy lustrze. Po swojej stronie. Nie przesunęła jej do niego. Nie podała jak prezent. Tylko zostawiła — jak decyzję.

— Jeśli ją weźmiesz... pamiętaj, co to znaczy.
Nie lustra cię wciągną.
Ty sam wybierzesz, którą stronę będziesz patrzeć.

Spojrzała na cień Arabelli — niemal scalony z Night Shadem. I na jego spojrzenie, które skrywało więcej niż pytało.

— To, że jesteś cieniem...
...nie znaczy, że nie możesz kiedyś stać się kimś,
na kogo ktoś czeka w świetle.

Cisza. Nie jak pusta przestrzeń — ale jak miejsce, które daje prawo do decyzji.

Night Shade spojrzał w taflę.
— Arabello... słyszysz mnie? — wyszeptał, oddzielając się od niej delikatnie, ale nie całkiem.

Wciąż stali po drugiej stronie tafli.

— Słyszałem cię, Iris.
Ale tutaj, po jej stronie...
...czuję się, jakbym słyszał cię przez szkło.

Dotknął Arabelli kopytkiem. Drugim — taflą.

Zaczął się stapiać. Nie jako podstęp. Nie jako pułapka. Ale jak coś, co po prostu nie chce być osobno. Jak oddech, który nagle dzieli dwie istoty.

— Ja mam mamę.

Ona zawsze na mnie czeka. — szepnął.

— Tak samo jak mama tej klaczy.

Nie współczuję jej.

Ale... jej mamie.

Tafla drgnęła.

Nie jak szkło.

Jak skóra.

Jak coś, co zaczyna czuć.

Iris stała w milczeniu. Ale gdy padły słowa o mamie, jej spojrzenie się zmieniło. Spiralne oczy nie kręciły się już lekko. Zamarły — jakby przypomniwały sobie coś, co miało zniknąć.

— Mama Arabelli... też pytała.

Na forum.

Napisała: „Czy ktoś ją widział?

Chociaż jeden głos?

Niech już wróci... choćby miała być zła...”

Zrobiła krok bliżej, ale lustro nie poruszyło się. Zatrzymało swój puls. Skupiło się tylko na ogierku i cieniu Arabelli.

— Ona nie odpowiedziała.

Bo już nie wiedziała, jak.

Bo echo... to nie głos.

I kiedy wołasz przez szkło —

...nie zawsze jesteś pewien, kto ci odpowiada.

Uniosła kopytko. Zawisło nad taflą. Ale nie dotknęła.

— Możesz przejść.

Naprawdę możesz.

— Ale... jeśli zostaniesz tam za długo,

zapomnisz, które echo było twoje.

Twoja mama będzie czekać...

...ale nie usłyszysz cię już naprawdę.

A ty... zaczniesz mówić cudzym głosem.

Teraz spojrzała mu prosto w oczy. Nie była w niej ani Iris, ani Screwball. Tylko ta, która kiedyś zapomniiała, że jest córką.

— Nie każdej mamie mogłam to powiedzieć na czas.

Ale tobie mówię:

Jeszcze możesz wrócić.
Nie dla Arabelli.
Nie dla mnie.

Dla niej.
Dla tej, która czeka.

I wtedy — cisza.

Ale nie pusta.

Cisza, która czekała na cud.

— Ale ja nie zamierzam tutaj zostać, Iris... — szepnął Night Shade.

I wtedy — rozpląnął się całkowicie.

Wypełnił kontur Arabelli.

Nie wtargnął. Nie zawłaszczył. Po prostu... wypełnił pustkę.

I nagle — klaczka poruszyła się.
Chwiejnie.
Jakby wracała z miejsca, gdzie nie było czasu.

— Arabello... słyszysz? — jego głos był już w niej.

— Twoja mama cię szuka... pamiętasz ją?
Pamiętasz tę, która zawsze cię kochała?
Ona nadal cię szuka.
Nie wszyscy zapomnieli.
To nie jest prawda...

Tafla zadrżała.
Nie jak granica.
Jak coś, co miało serce.

Arabella — ta z lustra — nigdy się nie odzywała. Jej spojrzenie było zuchwałe, ale puste.
Jakby dawno już zapomniała, że była kiedyś dziewczynką.

Ale teraz...

...jej kopytko uniosło się. Niepewnie.

Oczy — mętne jak stare szkło — poruszyły się. Szukały czegoś. Nie światła.

Głosu.

I wtedy — odpowiedziała.

— ...mama...?

Głos był zadławiony. Jak przez wodę. Ale nie był pusty.

— ...czy... naprawdę...?

I w środku niej — tam, gdzie wszystko było już tylko cieniem — rozbłysło coś, czego lustra nie znały.

Miłość.

Pamięć.

Imię.

Scena: Rytm, który nie był tylko cieniem

Iris patrzyła z boku. Cicho. Jej oczy, wciąż spiralne, błyszczały jak szkło, w którym zebrała się wilgoć. Nie płakała. Ale pamiętała.

Jej głos był tak cichy, że zginąłby w tłumie. Ale tutaj nie było tłumy. Tylko ona. I echo.

— Pierwszy raz... ktoś z tamtej strony mówi „nie” nie po to, żeby kogoś zatrzymać. Tylko, żeby... kogoś odzyskać.

Delikatnie dotknęła tafli. Nie mocno. Nie gwałtownie. Po prostu... z czułością.

Lustro nie pękło. Nie zgasło. Po prostu... otworzyło się.

Jak powieka. Jak oddech.

Arabella zadrżała. Jej kopytka przesunęły się, jakby sama nie wiedziała, czy to ona robi krok, czy cień w niej. Ale głos — głos należał do niej. Do dziewczynki, która nigdy nie przestała czekać.

— „Mamo?”

Powiedziała to z dwóch stron. Naraz.

I wtedy — tafla zniknęła. Rozpłynęła się jak sen, który zostawia tylko poduszkę pachnącą łzami.

W jednej z sal, gdzieś daleko od Galerii, ktoś... spojrzał na szafkę z numerem 23. I zauważył, że karteczki już tam nie było.

Powrót nie zawsze jest prosty. Ale jeśli ktoś cię woła... może nie jesteś jeszcze tylko odbiciem.

Night Shade patrzył jeszcze przez chwilę w miejsce, gdzie była tafla. Jego ciało powoli nabierało kształtu — z powrotem stawał się fizyczny. Namacalny. Dla siebie — i dla niej.

— Czemu ją uwolniłeś? — zapytał, znów przybierając cielesną postać. Jego głos nie był chłodny, ale też nie czuły. Raczej... uważny.

— Ja jej nie współczuję. Naprawdę.
Po prostu musiałem cię odnaleźć.
I spróbować ją wyciągnąć.
Nie dla niej samej...

Spojrzał na nią poważnie.

— I nadal mam własne pytania.
A może to twoje lustro je ma...

Zniżył się, podniósł kartkę — „Pamiętaj” — i wsunął ją powoli do juków przy boku.

Iris nie odpowiedziała od razu. Wzrok miała skierowany gdzie indziej — na Arbellę. Na jej drżący oddech, na róż powracający na policzki, na spojrzenie, które jeszcze nie wiedziało, gdzie jest, ale już nie było puste.

Dopiero potem przeniosła oczy na ogierka.

— Nie uwolniłam jej.
Ty to zrobiłeś.
Ja tylko trzymałam lustro.

— A ona... była zbyt dumna, by się obejrzeć.
Za to ty... spojrzałeś i zobaczyłeś nie tylko ją,
ale i to, co zostało po niej tam, gdzie nikt nie chciał już patrzeć.

Cienie wokół niej poruszyły się. Nie jak groźby. Raczej... jak coś wdzięcznego. I ostrożnego.

— Widzisz, Night Shade... moje lustra nie są więzieniem.
One są pytaniem.
Czy chcesz zobaczyć prawdę — nawet jeśli ci się nie spodoba?
Czy potrafisz wyciągnąć kopytko... nie dla kogoś, kto na to zasługuje,
ale dla kogoś, kto już przestał wierzyć, że może być inaczej?

Jej uśmiech był inny niż wcześniej. Nie był lekki. Nie był groźny. Był... siostrzany.

— A jeśli chodzi o twoje pytania...
Lustro je zapamiętało. Każde.
Ale odpowiedzi nie zawsze są tam, gdzie ich szukasz.

Spojrzała krótko na karteczkę schowaną w jukach.

— To było twoje pierwsze lusterko.
Nie obrazek. Nie ostrzeżenie.
Zaproszenie.

— A teraz... wybór.

Night Shade zamilkł na chwilę, jakby wciągał jej słowa przez skórę, nie tylko przez uszy.
Potem podniósł wzrok.

— Ale... przyjęcie zaproszenia to śmierć? — spytał. — Ona je właśnie przyjęła? Jej serce zgodziło się tu zostać?

Wskazał kopytkiem wokół. Galeria nie odpowiedziała.

— Jeśli opowieści o tobie — przeszłej tobie — są prawdą...
każdy, kto przyjął twoje zaproszenie, synchronizował się z tobą.
A wtedy... wtedy stawał się tobą.
Jednym oddechem, jednym rytmem... — mlasknął lekko — i jednym sercem.

Iris trwała w milczeniu. Jakby smakowała pytanie. Albo ból, który z niego wypływał.

— Nie śmierć.
Przynajmniej nie taka, o jakiej myślisz.

Jej głos był znów aksamitny — ale nie miękki. Raczej... przefiltrowany przez zbyt wiele echa.

— Bo w Galerii nic nie umiera.
Tu... rzeczy się rozmywają.
Oddzielają.
Najpierw od imienia.
Potem od głosu.
Na końcu — od wyboru.

Podeszła do tafli, która już nie istniała, ale wciąż miała zapach. I cień. I wspomnienie pulsowania.

— Synchronizacja to nie przymus.
To pragnienie.
Kiedy ktoś patrzy zbyt długo — zaczyna widzieć we mnie coś znajomego.
Kogoś, kto rozumie.
I wtedy... rytm się zgadza.

— A ja jestem bardzo dobra w łapaniu rytmu.

Jej uśmiech nie był głodny. Ale była w nim głębia.
Nie potrzeba — ale pokusa.

— Arabella się zgodziła, ale jej dusza była pusta.
Nie umiała tańczyć inaczej niż na cudzej scenie.
Nie miała własnego kroku.

Spojrzała wprost w oczy ogierka.

— A ty?
Czy masz własny rytm, Night Shade?
Czy tylko cienie, w których się chowasz?
Czy przyjąłeś zaproszenie, żeby mnie poznać — czy żeby się we mnie zgubić?

— I czy naprawdę jesteś gotów na odpowiedź?

Night Shade wziął powolny oddech.

— Własny rytm? — powtórzył. — Masz na myśli serca? Oddechu? Myśli? Którykolwiek, który potrafisz zsynchronizować?

— By się z nim stopić, tak jak ja zrobiłem z cieniem Arabelli?

Spojrzał na klaczkę. Arabella poruszała się, wciąż niepewnie. Jakby była po bardzo długim śnie. Jej wzrok był rozbiegany, jak po beczce cydru. Ale nie był już pusty.

Ogier poruszył jej kopytkiem przed pyszczkiem.

— Oj, to musiała być strasznie długa drzemka...
Przynajmniej dla niej.

Potem wrócił wzrokiem do Iris.

— I chciałbym cię poznać,
choć twoje moce, legendy są imponujące...

— Opowiedzi, jak brałaś udział w ataku potwora chaosu na inny świat...
Jak doprowadziłaś własną siostrę do szaleństwa, uspokajaczem dla małych źrebiąt...
Jak...

Urwał.
Bo spojrzał zbyt głęboko w jej oczy.

Spirale.
Cisza.
Głębia, która wciągała jak studnia bez dna.

I przez chwilę... zapomniał, że sam też ma rytm.

Scena: Gdzie pada światło

Iris nawet się nie poruszyła.
Nie musiała.

Jej spojrzenie nie było hipnozą. Nie dzisiaj. Nie dla niego.
Ale było... głębokie. Nie spiralne jak zegar w szaleństwie, lecz spiralne jak studnia, do której możesz zajrzeć —
i usłyszeć echo własnego imienia.
Jeśli jeszcze je masz.

— Rytm to wszystko, — powiedziała łagodnie, stając obok Arabelli.
Dziewczynka nadal drżała, jakby jej ciało nie było jeszcze pewne, czy wróciło do siebie —
czy tylko przypomniało, że było.

— Nie musisz być silny.
Nie musisz być mądry.
Ale musisz wiedzieć, co w tobie jest naprawdę twoje.

Zbliżyła się do ogierka.
Jej obecność nie była groźna, ale miała w sobie ciężar pytania, którego nie da się zignorować.

— Oddech? Może.
Serce? Bardziej.
Myśli? Czasem to pułapka.
Ale jeśli nie masz choć jednej rzeczy, która bije w tobie własnym rytmem... — zatrzymała się tuż przed nim, a jej spojrzenie było jak dotyk —
— ...to moje lustra usłyszają cię szybciej, niż ty sam.

Zamilkła.

Cień Arabelli falował jeszcze gdzieś na granicy rzeczywistości i wspomnienia. Jak duch, który nie wie, czy został zaproszony z powrotem do życia.

— To nie ja porwałam Arabelłę, — szepnęła Iris. —
Ona po prostu... przestała się odzywać do siebie.
I kiedy przyszło echo, nie miało już czego odbić.

Odwróciła się, ale nie odeszła.

— Night Shade... — wymówiła jego imię z miękkością kogoś, kto znał je od zawsze. —
Znasz bajki.
Czy chcesz teraz poznać prawdę?

Jej głos był łagodny.
Ale pod nim czaiło się coś, co nie należało do światła ani do cienia.
Tylko do tańca.

Tańca, który zaczyna się od pytania:

— „Czy chcesz grać w moje gry... czy własne?”

Night Shade nie uciekł wzrokiem.
Nie tym razem.

— Mówiąc po prawdzie, to chcę się z tobą pobawić. — rzucił wyzwanie. I było w nim coś odważnego... i coś, co się trzęsło.

— Wiem, co dla ciebie oznaczają te słowa.
Kiedy je mówisz, to zwykle są one ostatnim gongiem, przed końcem.
Bo „chcę się pobawić” nie oznacza propozycji zabawy,
lecz pytanie o tożsamość.

Zrobił krok w tył.

Nie z lęku — z ostrożności.

I wpadł na taflę jednego z pustych luster.

Zadrżało cicho, jakby rozpoznawało znajomy gest.

— Skoro Arabella była pusta, to na pewno sama je usłyszała... — dodał półszeptem.

Iris uśmiechnęła się.

Nie szeroko.

Delikatnie.

Jak klaczka, która знаła zakończenie bajki, ale pozwalała, byś sam do niego dotarł.

— Mądre słowa, — przyznała, z prawdziwym zaciekawieniem.

— Wiesz, że „pobawimy się?” to nie zaproszenie.

To lustro.

Jedno z tych niewidzialnych.

Takie, które stawiam między nami, zanim ktoś sam w nie uderzy.

Obróciła głowę. Spiralne oczy rozbłysły nie światłem, ale odblaskiem jego strachu, ciekawości i decyzji.

— Ale może dziś... nie chcę grać w moją grę.

Zrobiła krok. Lustro za jego plecami zadrżało lekko.

Arabella — półprzytomna — rzuciła mu krótkie spojrzenie.

Jakby pytała, czy ten nowy cień był przyjacielem... czy tylko echem.

— Chcesz się bawić, Night Shade? — zapytała cicho Iris.

— Dobrze. Ale pod jednym warunkiem.

Uniósła kopytko i zdmuchnęła coś z powietrza —
karteczkę.

Zapisaną zanim przyszli.

Zanim zaczęła się gra.

Na kartce był tylko jeden wiersz:

„Prawdziwy cień nie rzuca światła, ale wie, gdzie ono padnie.”

— Zanim się pobawimy... pokaż mi swój cień.

Nie ten, w który się wtopiłeś.

Nie ten, którym jesteś.

— Pokaż mi, co w tobie nie chce być mną.

Bo jeśli tego nie miał —

to żadna gra nie była już potrzebna.

Night Shade spojrzał na nią długo.

— Tak naprawdę, chcę poznać twoje sekrety, Screwball. — odparł wreszcie, szeptem.
— Chcę wiedzieć, jak ty to robisz. Dlaczego...
Dlaczego bawisz się w mściciela.
— Domyślam się, że te opowieści o tobie to kłamstwo.
Bo to, co tu widziałem... wygląda jak horror,
a nie jak zwykła bajka dla niegrzecznych żrebiątek...

Patrzył w kartkę, potem w nią. I dodał, cicho, bardziej do siebie:

— „Prawdziwy cień nie rzuca światła...”
Oczywiście — światło niszczy cień.
Pozbawia go ochrony. Możliwości ukrycia się...

— Ale to chyba każdy wie.
Gdy cię śledziłem, musiałem wiedzieć, gdzie jest światło.
By przesunąć się w inny obszar... kopytka Rosalyn...

Na chwilę umilkł.
I znów spojrzał na nią.

— Bardziej jestem ciekaw...
skąd wiedziałaś, czego chcę.

Scena: Lustro, które zadaje pytanie

Lustro nie zawsze odbija to, co na zewnątrz.
Bywa, że pokazuje tylko to, co trzymasz głęboko... pod skórą.

Iris nie odpowiedziała od razu.
Spojrzała na ogierka, jakby widziała coś przez niego — przez jego cień, jego słowa, jego zadrzenia.
Spirale w jej oczach nie wirowały. Były spokojne. Ciche.
Jak sen, który udaje, że już się skończył.

— Widzisz... — odezwała się w końcu, cicho. —
To nie ja cię odnalazłam.
To ty wszedłeś tam, gdzie nie powinno się słuchać echa.
A ono ci odpowiedziało.

Za jej plecami tafla zafalowała.
Cień Arabelli — ten, który przez chwilę jeszcze trwał — cofnął się głębiej, znikając bez dźwięku.
Jakby robił miejsce.

— Nie jestem mścicielem, — powiedziała miękko. —
Nie mszczę się za siebie.
Tylko za tych, którzy nie potrafią jeszcze mówić.
Którzy mają tylko jedno słowo w głowie, gdy są bici.

„Mamusi.”

Ale nikt go wtedy nie słyszy.

Zamilkła, a w tej ciszy odbiło się echo jego wcześniejszych słów.

Słów o matce Arabelli. O wpisie na forum. O pytaniu, które nie miało odpowiedzi.

— Ty słyszałeś, — dodała. —

Nawet z drugiej strony szkła.

I dlatego ci pozwoliłam.

Jej głowa przechyliła się lekko, jakby nasłuchiwała rytmu.

Czegoś, co nie należało do niej.

Ale co znała bardzo dobrze.

— Nie jesteś potworem, Night Shade.

Ale jeśli naprawdę chcesz poznać moje sekrety...

Zbliżyła się.

Teraz dzielił ich może pół krok.

— ...to powiedz mi, co w tobie jest puste.

Nie była to groźba.

Nie było to zaproszenie.

To było pytanie, które otwierało lustro.

I ono — usłyszało.

Zadrżało.

Jakby nie odbijało, ale słuchało razem z nią.

Night Shade — po raz pierwszy — zamilkł.

Z otwartym pyszczkiem.

Bez odpowiedzi.

Bo jego cień nie był pusty.

Przynajmniej tak mu się wydawało.

Potrafił przecież wypełnić Arabellę.

Jego serce też nie było puste — czuł sympatię. Czuł współczucie.

Dla przerażonej mamy Arabelli.

Dla tej, która pisała z nadzieją, że ktoś, ktokolwiek, odpowie.

Ale na pytanie Iris — nie miał odpowiedzi.

Parsknął krótkim śmiechem. Nerwowym.

Zakrył natychmiast pyszczek kopytkiem.

Czuł się... dziwnie. Jakby jego serce zrobiło się chłodniejsze.

Jakby tafla szkła, o którą opierał się plecami, odebrała mu część ciepła.

Iris nic nie powiedziała.
Nie uśmiechnęła się.
Nie sięgnęła do tafli.

Ale lustro...
sięgnęło do niego.

Nie fizycznie.
Nie było plusku. Nie było trzasku.
Tylko uczucie.

Jakby jego plecy przestały być jego.
Jakby przylegały do cudzego wspomnienia.
Cudzego chłodu.
Takiego, który zna pytanie... i próbuje je pochłonąć.

Iris patrzyła.
Jej spirala drgnęła raz. Nie przyspieszyła — ale pogłębiła.
Jakby coś w niej rozpoznało echo w sercu ogierka.

— To dobrze, — powiedziała cicho. —
Dobrze, że nie potrafisz odpowiedzieć.
To znaczy, że jeszcze nie jesteś odbiciem.

Zrobiła krok w bok.
Nie od niego — dla niego.

Pozwoliła mu wyjść spod tafli.
Pozwoliła się wycofać, jeśli chciał.
Ale nie powiedziała: *uciekaj*.
Nie powiedziała: *jesteś bezpieczny*.

— Wiesz... niektóre pytania są drzwiami.
Nektóre... są klamkami.

Spojrzała mu w pyszczek — nie jak sędzia, nie jak cień.
Ale jak lustro, które nie zapomniało, że samo kiedyś miało imię.

I wtedy szepnęła:

— A niektóre... są lustrem, które zaczyna pytać ciebie.

W ciszy, która zapadła, słysząc było tylko puls.
Światło w jednej z tafli.
Nie odbicie.
Nie cień.
Próba.

Night Shade podszedł.
Powoli. Ostrożnie. Zafascynowany.

— Mówisz... że niektóre pytania są lustrem... — powiedział cicho.

Zbliżył się do tafli, która pulsowała.
Dotknął jej delikatnie kopytkiem.
A potem przesunął po niej —
i na powierzchni rozeszły się kręgi.

Nie szkła.
Nie wody.
Cienia.

Kręgi pytały go o jedno:

— Co naprawdę nosisz pod skórą?
— I czy to bije twoim rytmem... czy cudzym?

Rozdział: Lustro, które Zadaje Pytanie

— *Niektóre pytania są lustrem.*
— *Inne są... kluczem,* — powiedziała Iris, prawie bezgłośnie. Stała tuż obok, lecz nie przytłaczała. Już nie.

Jej oczy nie świeciły grozą. Nie błyszczały mocą.
Były tylko spiralą czekania — jakby teraz to ogierek był światłem, a ona... jego odbiciem.

— *To, co teraz czujesz — ten dotyk, te fale — to twoje własne pytanie, które wraca do ciebie.*
— *To nie moje lustro, Night Shade. To twoje.*

Zapadła cisza.

I wtedy Iris zadała pytanie. Nie patrzyła przy tym w taflę, lecz w jego cień. Jakby to właśnie on miał odpowiedzieć.

— *Jeśli woda pokazuje odbicie...*
...to czy to, co widzisz, naprawdę jest tobą?
Czy tylko tobą dla innych?

Lustro za jego kopytkiem zapulsowało intensywniej. Kształty zafalowały.
W odbiciu pojawił się cień kłaczy, którą widział wcześniej. Ale nie była to Arabella. Nie Rosalyn. Nie Iris.

To była postać z jego wspomnień.
Może matka.
Może ktoś zapomniany.
Może on sam — ale inny. Jeszcze niepęknięty.

Woda szeptała. Tafla oddychała.
A Iris... milczała. Czekala.

Night Shade nie od razu się odezwał. Wpatrywał się w cień w lustrze jak zaczarowany.

— *Woda pokazuje nam odbicie... ale pytasz, czy jesteśmy tym odbiciem?* — szepnął. — *Jeśli to odbicie jest nasze... to znaczy, że jesteśmy odbiciem.*

— *Jeśli jesteśmy odbiciem...* — powtórzyła Iris, z niemal czułą ciekawością, jakby ważyła jego słowa w ustach — *to kto trzyma taflę?*

Milczenie, które zapadło, nie było zimne.
Było miękkie. Zaskakująco bliskie.
Jakby to nie gra, nie pułapka, lecz rozmowa.
Po raz pierwszy od dawna — szczerza.

— *Widzisz...* — zaczęła znowu, siadając obok niego. Jej ogon falował miękko, dotykając posadzki jak ślad snu. — *Niektórzy mówią, że lustro nigdy nie kłamie. Ale to nieprawda.*

— *Lustro pokazuje to, czego szukasz.*
Nie to, kim jesteś.
Nie to, kim się boisz być.
Tylko... to, co chcesz zobaczyć. Albo czego nie chcesz.
W tym samym momencie.

Zamilkła na chwilę.
Tafla wciąż drgała lekko pod kopytkiem ogierka.

— *Powiedz mi, Night Shade...*
Czy kiedykolwiek widziałeś w lustrze coś, czego nikt inny nie widział?
Czy kiedykolwiek lustro odpowiedziało na twoje pytanie... zanim je zadałeś?

Night Shade otworzył pyszczek, ale nie odpowiedział.
Zamiast tego spojrzał gdzieś w bok.

— *Nikt nie musi jej trzymać,* — wymruczał. — *Tafla wody nie jest trzymana... Nie wiem.*

Zawahał się.
A potem dodał z cichą rezygnacją:

— *Nie to, kim jesteś...*
— *Arabella na pewno nie widziała siebie, a jednak pokazałaś wspomnienie, jak patrzyła na siebie po drugiej stronie. A właściwie... na swoją mimikrę.*
Czy to znaczy, że chciała być tobą?

Nie odpowiedział na pytanie o lustra.
Unikał go — tak jakby znał odpowiedź, ale nie chciał jej wypowiedzieć.

Iris skinęła lekko głową.

— *Może chciała*, — przyznała cicho. —
Albo myślała, że to ja chciałam być nią.

Jej uśmiech był słaby. Zmęczony.
Nie ten legendarny, figlarny grymas klaczki chaosu.
Był bardzo... ludzki.

— *Czasem kucyk patrzy na mnie i myśli: „Ona chce mnie wciągnąć.”*
Ale to nigdy nie ja zaczynam.
To oni pierwsi zbliżają się do tafli.

Spojrzała w jego oczy. Nie przenikliwe. Nie hipnotyczne.
Po prostu — obecne.

— *Nikt nie musi trzymać tafli, to prawda.*
Ale ktoś musi pierwszy zapytać: „Czy to naprawdę ja?”
A czasem... ktoś musi spojrzeć i zobaczyć coś innego.

Przesunęła kopytkiem po lustrze.
Na jego dnie zadrgało coś miękkiego — echo uśmiechu Arabelli.
Może szept. Może tylko ślad ły.

— *Nie odpowiadasz.*
To dobrze.

Znów spojrzała na niego. Tym razem poważniej. Nie groźnie — ale tak, jakby próbowała
zajrzeć nie w twarz, ale w cień, który coś skrywał.

— *Jeśli jesteś cieniem...*
to czy wiesz, co chowasz w sobie?

Night Shade nie zawahał się tym razem.

— *Światło*, — odparł natychmiast. — *Cień pochłania światło.*

Iris pokręciła głową.

— *Nie*, — powiedziała powoli, z delikatnym rozczarowaniem. —
To iluzja.

Zrobiła krok bliżej. Jego odpowiedź coś w niej poruszyła — choć nie wiadomo jeszcze, czy
pozytywnie.

— *Cień nie pochłania światła, Night Shade. On je tylko zasłania.*
Przesuwa się tam, gdzie światło nie może dotrzeć.
Ale światło nie znika.
Nie przestaje istnieć.

Tafla zadrżała.
Zanurzyło się w niej inne wspomnienie:

Mała klaczka.
Siedząca pod ławką, z kocem zarzuconym na grzbiet.
Wszyscy myśleli, że bawi się w chowanego.
Ale ona po prostu bała się światła, które **za dużo pokazuje**.

— *Cień, który mówi, że pochłania światło...*
to cień, który zaczął wierzyć, że nigdy nie zasługiwał, by je mieć.

Iris spojrzała na ogierka.
Tym razem naprawdę — do głębi.
Jej oczy nie były spiralami.
Były czyste. Zwierciadlane.

Gotowe, by zobaczyć.

— *A ty? Czy ty zasługujesz?*

Night Shade zadrżał.
Nie odpowiedział od razu.
W jego gardle ugrzązł dźwięk.

— *Nie wydaje mi się...* — wyszeptał.

Po chwili zaśmiał się przeciągle — nie radośnie. Nerwowo.
Zakrył pysk kopytkiem. Zawstydzony.

I wtedy — wyciągnął z juków karteczkę.
Tę, którą zabrał wcześniej.

I podał ją Iris.

— *Nie zasługuję na nią,* — powiedział cicho. —
Dawno powinienem ją dostać. Ale... nie byłem gotów.

Iris spojrzała na niego — z uważnością.
Z miłością, którą można mieć tylko do tych, którzy pierwszy raz przyznali się do słabości.

Nie odebrała karteczki. Jeszcze nie.

— *Może właśnie dlatego ją znalazłeś, Night Shade,* — powiedziała łagodnie.
Nie wtedy, kiedy na nią zasługiwałeś.
Ale wtedy, kiedy zacząłeś się bać, że już nigdy nie będziesz.

Rozdział: Granica Gry

Screwball nie sięgnęła od razu po karteczkę.

Stała bez ruchu, jakby to nie był tylko kawałek papieru — lecz fragment czegoś większego. Pamięci. Listu nigdy nie napisanego. Echo zaproszenia, które miało zostać odczytane dopiero wtedy, gdy serce stanie się gotowe.

Jej wzrok przesunął się powoli po kopytku ogierka, po cieniu kartki, po wytartych zagięciach...

A potem uniosła oczy na Night Shade'a.

— *Ale to właśnie dlatego ją miałeś, Night...* — powiedziała cicho, bez uśmiechu. — *Bo jeszcze nie byłeś gotów. Ale nadal nie byłeś zgubiony.*

Karteczka uniosła się między nimi. Nie poruszona magią.

Poruszona powietrzem — drgnięciem myśli.

Obróciła się, ukazując znajomy rysunek.

Lustreczko. Pęknięte.

Z jednym słowem: Pamiętaj.

— *To nie była kara,* — powiedziała cicho. Jej głos przypominał kołysankę. — *To było zaproszenie.*

Do zobaczenia siebie. Nie do zniknięcia.

Nie do śmierci.

Do prawdy.

Zamilkła.

— *Wiesz, ilu ich było? Tych, którzy bali się przyjąć tę kartkę, bo myśleli, że to wyrok?*
A ilu ją zlekceważyło — i przyszli za daleko?

Zbliżyła się.

Między jego cieniem a jej oddechem nie było już nic prócz tafli.

— *To nie lustro cię zabiera, Night.*

To twoje decyzje, kiedy już stoisz naprzeciwko.

Zatrzymała się.

I powiedziała bardzo spokojnie:

— *I teraz... stoisz.*

— *Więc powiedz mi. Nie żartem. Nie cieniem.*

Nie jako gracz.

Ale jako ty.

— *Pamiętasz?*

Night Shade milczał. Ale nie długo.

— *Dobrze rozumiem?* — spytał w końcu. Jego głos był cichy, ale pewny. Kopytkiem dotknął lustra.

— *Arabelle i mnie łączy teraz jedna rzecz, Iris?*
Oboje stoimy przed taflą.
Ona już to zrobiła. Ja... jeszcze nie.
Ale ona patrzyła na twoją mimikrę. I... przyjęła ją za prawdę?
Uwierzyła w kłamstwo, stworzyła fałszywy obraz siebie...
I sama, z własnej woli, przeszła na drugą stronę?

Zawahał się.

— *Różnica jest taka, że ja widzę siebie.*
Albo przynajmniej tak mi się wydaje.
Bo ty nie wyglądasz jak ja.

Spojrzał jej prosto w oczy.

— *Więc mogę zdecydować. Jak ona.*
Czy pójść dalej.

— *To dobrze rozumiem?*
To moje zaproszenie... lub moje odrzucenie?

Iris — Screwball — uśmiechnęła się.
Ale bardzo, bardzo powoli.

Tym razem jej uśmiech nie sięgał oczu.
Spiralne źrenice wirowały wolniej. Jakby coś... czekały.

— *To dobrze, że pytasz,* — odparła. Jej głos był jak tchnienie nad taflą lodu. — *Większość nie pyta.*
Chce tylko odpowiedzi, które brzmią znajomo.

Zbliżyła się, krok po kroku. Ostrożnie.
Jak ktoś, kto zna wagę chwili.

— *Arabella nie została zmuszona.*
Ale nie była też gotowa.
— *Zobaczyła odbicie, które wyglądało... jakby ją znało.*
I chciała uwierzyć, że to jest prawda.
Bo bała się siebie.
Bała się, że jej prawdziwe "ja" nie zasługuje na nic więcej niż echo.
Niż śmiech.

Zatrzymała się.
Teraz stała naprzeciwko tafli, tak że Night Shade mógł widzieć ją, siebie... i coś jeszcze między nimi.

— *Ty widzisz swój cień.*
To znaczy, że jeszcze jesteś sobą.
Jeszcze jesteś po tej stronie.
Jeszcze masz wybór.

Jej głos zniżył się niemal do szeptu.

— *To najrzadszy moment.*

Moment, którego wielu nie rozpoznaje.

Granica.

Nie decyzyja: "czy pójdę", ale: "czy wiem, że mogę nie pójść?"

Spojrzała mu prosto w oczy.

Spirala zwolniła. Zatrzymała się niemal.

— *Więc tak, rozumiesz to dobrze, mały cieniu.*

To jest twój wybór.

I twoja siła.

— *Bo zaproszenie nie działa wtedy, gdy ktoś je trzyma.*

Działa wtedy, gdy ktoś je rozumie.

Po czym pochyliła głowę.

Z szacunkiem.

— *I jeśli nie boisz się pytać...*

...to być może jesteś silniejszy, niż myślisz.

— *Czyli...* — Night Shade zmarszczył brwi. — *Czyli mogę zapytać z własnej woli...*

czy nie chcesz się ze mną pobawić?

Przekrzywił głowę.

— *A właściwie — spytać, czy ty nie zadałabyś mi tego pytania.*

Skoro już wiem, co ono znaczy.

Zamilkł.

W tym samym momencie coś drgnęło w cieniu Arabelli.

Klaczka, która leżała jak martwa, jak zamknięta w odbiciu, zerwała się gwałtownie na kopyta.

Upadła.

Ale łapała powietrze.

Jak ktoś, kto pierwszy raz wypłynął z głębokości.

Iris nie poruszyła się.

Nie było potrzeby.

Ale jej spojrzenie — spokojne, spiralne — nie opuszczało ogierka nawet na ułamek sekundy.

— *Zadałeś właściwe pytanie, cieniu,* — powiedziała miękko. — *Bo nie chodzi o to, czy ja chcę się z tobą pobawić.*

Zrobiła krok.
Nie do przodu.
W bok.

Tak, że jej odbicie złało się z jego w tafli.
Dwa kształty. Dwie intencje.
Jeden moment.

— *Chodzi o to, czy ty już się bawisz.*

Arabella kaszłała. Drżała.
Jej oczy były zamglone, ale czyste.
Bez spirali. Bez hipnozy.

Tylko światło.

Odbite. Błędne.
Ale jej.

Iris — a może już tylko Screwball — spojrzała przez ramię. Na klaczkę, której cień jeszcze się nie domknął.

— *Ona wróciła.*
Nie dlatego, że ją wyciągnąłeś.
Nie dlatego, że ją uratowałeś.
Tylko dlatego, że poczuła, że ktoś naprawdę ją zobaczył.

Spojrzała znów na Night Shade'a.

— *To też jest zabawa.*
Ale inna, niż myślałeś.
Prawda?

Jej głowa przechyliła się lekko.
Ton pozostał łagodny, niemal dziecięcy. Ale w oczach — w oczach był początek nowej gry.

— *Więc powiedz mi jeszcze raz...*
Chcesz mnie zaprosić?
Czy może już wszedłeś?

Rozdział: Cień, Który Zostaje

— *Czy sam już wszedłem?* — zapytał ogierek, niemal szeptem. Dotknął tafli lustra kopytkiem, jakby chciał sprawdzić, czy to sen, czy już prawda.

— *Wydaje mi się... że chciałbym cię zaprosić...* — dodał cicho.

Za jego plecami Arabella poruszyła się gwałtownie. Zerwała się na kopyta, ale jej ciało nie słuchało — upadła znowu z głuchym szelestem. Oddychała ciężko, jakby dusiła się powietrzem.

— *Gdzie... gdzie ja...?* — próbowała wydusić. Jej oczy były rozbiegane, jakby próbowała znaleźć coś znajomego, ale wokół nie było już szkoły. Nie było dnia. Było tylko lustro.

— *Nie...* — jęknęła nagle. — *To... to parzy!!*

Skuliła się, przyciskając drżące kopytko do piersi — dokładnie tam, gdzie kiedyś dotknęła pulsującej błony. Dokładnie tam, gdzie się zmieniła.

— *Parzy?* — powtórzył Night Shade, marszcząc brwi. Spojrzał na Iris. — *O czym ona mówi?*

Iris patrzyła. Nie spieszyła się z odpowiedzią.

— *Prawda parzy,* — powiedziała w końcu. — *Szczególnie, jeśli długo byłeś zimna.*

Arabella jęknęła, a jej cień nie nadążył — jakby musiał się nauczyć, gdzie ona teraz naprawdę jest. Jakby nie rozumiał jej już całkiem.

Iris spojrzała na Night Shade'a.

— *Pamiętasz, co powiedziała, tuż przed odejściem? „Zawsze razem.”* — powtórzyła, nie patrząc na Arabelle. — *Ale wtedy mówiła to do mnie... a nie do siebie.*

Nie było w niej złości. Tylko żal. Stary żal, który przestał ranić, ale nigdy nie przestał być ciężki.

— *Dlatego ją parzy.* — Jej głos stał się jeszcze cichszy. — *Bo pierwszy raz czuje własne serce. A serca nie da się wyłączyć na zawsze. Prędzej czy później... wraca.*

Night Shade poczuł to.

Ciepło pod kopytkiem. Ale też... pytanie. Nie „czy chcesz odejść”.

Pytanie brzmiało:

„Kogo zabierzesz?”

Arabella patrzyła na niego. W jej oczach coś drżało. Może cień. Może nadzieja.

Iris odezwała się:

— *Ona może jeszcze wyjść. Ale nie sama. Musi być ktoś... kto zobaczy ją całą. Nie tylko to, co chciała pokazać. Nie tylko to, co jej zrobili. Ale też to, co ona zrobiła.*

Zrobiła krok bliżej.

— *Pamiętasz, co mówiłeś? Że cień można wypełnić czymś innym?*

Night Shade spojrzał na Arabelle.

I na siebie.

Na te same miejsca. Te same rany.

— *Nie chcę... żeby mnie pamiętali taką...* — wyszeptała Arabella. — *Nie chcę być tylko... lusterkiem...*

Za jej plecami tafla zaczęła gasnąć.

Nie wybuchła. Nie znikła.

Po prostu... cofała się.

Ale Iris już jej nie dotykała.

Bo to nie ona miała zdecydować.

Ostatnie pytanie należało do niego.

— *Czy mogę ją tu na razie zostawić?* — zapytał Night Shade cicho. — *Wrócić później? Myślę, że rozmowa z tobą dobrze jej zrobi.*

Iris nie odpowiedziała słowami.

Nie musiała.

Ogierek spojrzał na Arabellę.

— *Wiesz... dziwię się, że jesteś dla mnie taka współczująca.* — powiedział, nieco twardszym tonem. — *Nie chcesz, by mnie bolało, prawda? A pamiętasz...?*

Odwrócił się bokiem, pokazując bliznę przy znaczku.

— *Pamiętasz, jak byłaś? Jak popychałaś? Jak traktowałaś innych jak śmieci?*

Arabella nie odpowiedziała.

Jej oczy rozszerzyły się. Ale nie od strachu.

Od... wspomnienia.

Zadrżała.

— *Ja... nie pamiętałam...* — wyszeptała. — *Wydawało się, że wszyscy tak robią. Że jeśli nie jesteś silna... to cię zjedzą...*

Spojrzała na Iris.

— *A ty... mogłaś mnie zostawić...*

Iris milczała.

Zrobiła jeden krok.

Arabella zadrżała, ale nie uciekła.

I to wystarczyło.

Night Shade jeszcze raz spojrzał na taflę.

I odetchnął.

— *Zostawię ją tutaj. Ale drzwi zostaną otwarte.*

Nie powiedział: wróć.

Nie powiedział: zapomnę.

Tylko...

...odszedł.

Wychodząc z Galerii Luster.

Nie z ulgą.

Z odpowiedzialnością.

Za cień, który został.

Ale też za światło, które może kiedyś wrócić.

Rozdział: Lusterko, które nie umiało patrzeć (część I)

Arabella rzuciła się ku tafli, kiedy Night Shade zaczął znikać — jakby jeszcze mogła złapać jego cień, zatrzymać ciepło, które w niej coś poruszyło.

— Proszę, nie zostawiaj! — krzyknęła, łapiąc wzrokiem jedyną postać, która w tej chwili wydawała się prawdziwa.

Ale on już odchodził.

Tafla zamknęła się za nim cicho, bez błysku, bez huku. Po prostu — przestał być tutaj.

Pozostała tylko ona.

I Iris.

Klacz chaosu nie ruszyła się. Stała nieruchomo, jakby od lat była częścią tej przestrzeni — nie jako strażniczka, lecz jako świadek.

— Krzyczałaś, że cię parzy — powiedziała cicho, bez gniewu. Głos był miękki, niemal kojący. Ale nie koił.

Nie teraz.

Jeszcze nie.

— Myślałaś, że ktoś cię ratuje. Że jego obecność oznacza koniec gry. Ale, Arabello... — Iris zrobiła krok bliżej, nieśpiesznie. Jej spirale wirujące w oczach nie niosły już hipnozy, lecz głębię. — Ty już wtedy wiedziałaś. Prawda?

Cisza była napięta, jakby Galeria zatrzymała oddech.

— Że jeśli jeszcze raz... jeszcze tylko jeden raz... — urwała, patrząc jej prosto w oczy — to nikt cię nie wyciągnie.

Arabella spuściła wzrok. Jej ciało nie było już zupełnie cieniem, ale jeszcze nie sobą. Jakby lśniła pomiędzy.

— Ja... ja miałam iść na alchemię... — wyszeptała chaotycznie, splątany tonem. — A potem... potem stałaś przede mną. Z lusterkiem... błysnęłaś mi w oczy... I... twój głos... był zimny i słodki, powiedziałaś, żebym się pośmiała, że będzie mniej bolało...

Słowa leciały, jakby wypadały z niej, zanim zdążyła je osądzić.

— Potem... potem było ciepło. I... i zapytałam siebie, czy mogę się przytulić. Tylko raz. Tylko dotknąć kopytkiem... Ale to tak strasznie bolało w środku...

Łzy spływały jej po policzkach.

— Potem przyszła mama... i mnie przytuliła... ale to nie była ona. To było... tylko coś, co mi ją przypominało...

— A potem... potem już nie wiem. To było jak sen... jakby mnie nie było...

Głos urwał się, pękając na końcu zdania jak szkło.

Iris nie podeszła. Nie tuliła. Nie przerwała.
Ale też... nie zniknęła.

Została.

Bo Arabella *mówiła*.

— Pamiętasz więcej, niż myślisz — powiedziała w końcu, klękając naprzeciw niej. Jej głos był delikatny, niemal czuły, ale twardy jak zwierciadło. — Bo ból to nie kara, Arabello. To znak, że coś w tobie *jeszcze żyje*.

Spojrzała uważnie.

— Ty naprawdę chciałaś, żeby ktoś cię przytulił.

Ale nie zapytałaś siebie, czy twój dotyk też potrafi przytulać... czy nie parzy.

Arabella zadrżała.

— Zrobiłam coś strasznego — powiedziała Iris po chwili. — Pozwoliłam ci patrzeć za długo. Nie zatrzymałam cię, gdy sięgałaś do błony.

Zamknęła oczy. Jej spirale na moment ustały.

— Ale i ty coś zrobiłaś. Zanim zasnęłaś... wepchnęłaś całą swoją złość... swój żal... swój wstyd... *w cień*.

I to *on* potem działał za ciebie. Ranił. Krzyczał. Przesuwał lusterka.

Nie dlatego, że musiał.

Dlatego, że ty nie chciałaś już czuć tego bólu.

Iris otworzyła oczy.

Były klarowne. Jak tafla przed pytaniem.

— Jeśli chcesz stąd wyjść...

To nie wystarczy się bać.

Musisz rozpoznać ten cień. Nadać mu imię. I powiedzieć mu:

"Nie jesteś mną. I nie będziesz."

— Bo jeśli tego nie zrobisz... — głos Iris był już tylko szeptem — ...to on wyjdzie zamiast ciebie.

Arabella patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

Łzy drżały na rzęsach.

— Nie chcę... żeby mnie pamiętali taką...

— Nie chcę być tylko lusterkiem...

Za jej plecami jedno z luster zadrżało. Jakby miało się zamknąć. Ale nie zamknęło się.

Jeszcze nie.

Iris patrzyła. Nie mówiła już nic.

Bo teraz pytanie należało do Arabelli.

Czy spojrzy w cień.

Czy znajdzie w nim swoje imię.

Czy odpowie.

Rozdział: Imię po drugiej stronie

Serce Arabelli waliło jak młot. Nie mogła go uspokoić. Każdy jego uderzający rytm przypominał jej, że *jeszcze tu jest* — ale nie wiedziała, czy to coś dobrego. Patrzyła nie na Iris, ale na jedno z luster. W tafli nie było jej odbicia.

Była tam **ona**.

Mała klaczka. Zagubiona. Oczy rozszerzone, kopytka drżące. Światło wokół niej migotało, jakby samo bało się dotknąć tej sceny.

To była **retrospekcja**.

To był **początek końca**.

Arabella — nie ta dzisiejsza, ale ta dawna — stała sama w korytarzu galerii. Lustra otaczały ją z każdej strony. W jednych była starsza. W innych zmęczona. W jeszcze innych... ktoś patrzył jej oczami, ale to nie była ona. Wszystko tu było za ciche. Zbyt czyste. Jakby ktoś zbudował tę ciszę z intencją, by *bolała*.

A potem — chichot.

Dziecięcy. Słodki. Zbyt lekki.

Arabella już wtedy wiedziała, że coś jest nie tak.

Screwball pojawiła się w tafli. Kolorowa, uśmiechnięta, z oczyma jak spirale.

— No, no... kogo my tu mamy? — zapytała z uśmiechem, który nie znał ciepła. — Wpadłaś do mojej galerii. Chcesz się zabawić?

Jej głos był wszędzie. W lustrach. W ziemi. W powietrzu.

Potem przeszła przez szkło — a może szkło przepuściło ją z miłością. Iris nie była już tylko postacią z bajki. Stała po obu stronach tafli. W swojej, i Arabelli.

— Myślałaś, że jestem ostrzeżeniem — szeptała. — Ale przecież cię ostrzegałam. Rysunkiem. Wizją. Meadow. A ty... ty się *śmiałaś*.

Arabella patrzyła. Miała zbyt dużo lat i zbyt mało siły.

A potem... Screwball *stała się nią*.

Ten sam głos. Ten sam śmiech. Ten sam grymas, którym kiedyś Arabella maskowała strach. Stała się jej cieniem. Ale nie po to, by ją zrozumieć. Po to, by ją **zastąpić**.

— Tu nikt nie płacze. — powiedziała Screwball. — Tu się *śmieje*.

I Arabella... zaśmiała się.

Najpierw cicho. Potem głośniej. I jeszcze głośniej.

Bo nie miała już nic.

Bo jeśli się śmiejesz, nie słysząc, jak pękasz.

A potem padły te słowa.

— Zawsze razem...

I Screwball je powtórzyła.

Z radością.

Z triumfem.

Z czułością.

I właśnie dlatego **Arabella zniknęła**.

Nie fizycznie. Nie od razu.

Ale w środku — coś się zamknęło.

Jej kopytko dotknęło tafli.

I tafla była *mięka*. Jak błona. Jak sen.

Nie parzyła z zewnątrz. Parzyła **w środku**.

— Proszę, nie... już nie... hehehehehe... — zawyła Arabella.

Potem nagle — jakby coś w niej pękło — wybuchła śmiechem.

Nie tym śmiechem, który koi.
Nie tym, który rodzi się z ciepła.

To był śmiech pękającej szyby.
Śmiech histeryczny, szarpany, bolesny jak rana rozdrapana do krwi.

— Błagahahahahyaham... ja nie chcę tegohohohoh widziehec!! — zawyła przez łzy, śmiech i coś jeszcze — coś, co już nie przypominało głosu klaczki, ale echo samej siebie.

Drżała cała.
Jakby ciało nie mogło już odróżnić lęku od śmiechu.
Jakby to było jedno.

Obraz w lustrze falował.
Obraz wewnątrz niej — jeszcze bardziej.

I na tym kończy się scena.
Iris milczy.
Jeszcze.

Nie był to cytat z książki.
Nie był to też cytat ze snu.
Nie był nawet częścią żadnego z „bajkowych” postów, które Arabella kiedyś sobie kopiowała i wysyłała na czacie.

To były słowa jej mamy.

Powiedziała je, gdy Arabella miała sześć lat i rozbiła ulubioną szkatułkę z porcelany.
Pamiętała każdy szczegół — kanciasty brzeg mebla, na którym szkatułka się zachwiała, dźwięk kruszenia się szkła, swoje zamarte w pół ruchu kopytko.
Pamiętała, jak wtedy myślała, że już nigdy nie będzie mogła wrócić — do mamy, do domu, do bezpieczeństwa.

Ale wtedy mama tylko uklękła.
Nie krzyczała.
Nie pytała, czemu.
Tylko przytuliła ją, długo, mocno.
I szeptała:

— Zawsze razem.
— Choćbyś wszystko zniszczyła.
— Choćbyś cały świat rozbiła jak to szkło.
— Zawsze razem.

I teraz Arabella wypowiedziała te słowa.
Nie do Iris.
Nie do lustra.
Nie do swojego cienia.

Do siebie.

Nie była to mantra.
Nie była to ucieczka.
Była to kotwica.

I wtedy — coś się zmieniło.

W jednej chwili wszystko zamarło.
Jakby całe wnętrze Galerii Luster, cała ta złudna, chichocząca przestrzeń — wstrzymała oddech.

Wirowanie oczu Iris przystanęło.
Stukanie kopytka ustało.
Światło w galerii zawisło w przestrzeni jak zatrzymana błyskawica, gotowa spaść, ale nie spadająca.

W tafli lustra...

...pojawił się obraz.
Ale nie Iris.
Nie fałszywe odbicie.
Nie ta, której Arabella się bała.

Tylko... Arabella.

Prawdziwa.
Zmęczona.
Zapłakana.
Ale żywa.
Patrząca — na siebie — z drugiej strony.

Nie uśmiechała się. Nie krzyczała.
Po prostu była.
Po raz pierwszy — od środka.

Iris, lub Screwball, nie powiedziała nic.
Patrzyła.
I bardzo, bardzo powoli... jej spiralne oczy zaczęły się wygaszać.
Jakby światło w nich cofało się z krawędzi, ustępując czemuś cichszemu. Cień refleksji.
Początek zrozumienia.

— ...No proszę — szepnęła w końcu.
Nie drwiąco. Nie groźnie.
Nie tak, jak wcześniej.

Cicho.
Jakby pierwszy raz naprawdę była... poruszona.

— Zapamiętałaś coś, co nie było śmiechem.

Zbliżyła pyszczek do tafli.
Nie po to, by ją złamać.
Nie po to, by ją wciągnąć.

— Jeszcze nie jesteś mną.

Słowa zawisły między nimi. Nie miały ostrza. Miały wagę.
Wagę, która wystarczyła, by Arabella po raz pierwszy od dawna poczuła coś pod kopytkami.

Ciężar.

Nie był to ból.
Nie była to przepaść.

To była obecność.
Jej własna.

Spojrzała na swoje odbicie.
A ono — nie zwlekało.

To ono wyciągnęło kopytko pierwsze.
Ale tym razem — nie wciągało.
Nie błyszczało spiralą.

Oddawało.

— Powiedz to jeszcze raz — poprosiła Screwball.
Nie rozkazała.
Nie zasugerowała.

Poprosiła.

A jej głos...
...brzmiał jak próbka muzyki z innego świata.
Nie groźba.
Nie zaproszenie.
Nie kara.

Prośba.

.Oczy Arabelli były szeroko otwarte — aż za bardzo, jakby próbowały pomieścić całą burzę, której już nie dało się zatrzymać.

— NARESZCIE?! — krzyknęła, a jej głos rozdarł powietrze jak pękająca tafla szkła. Był płaczliwy, rozedrgany, wypełniony nie tylko gniewem, ale i ulgą — tą przerażającą, bezbronną ulgą, która przychodzi dopiero wtedy, gdy ktoś naprawdę cię usłyszy.

— Ty, ty nie wiesz... nie wiesz jak to jest, jak to było to przeżyć... — wykrztusiła z siebie, a każde słowo było jak szarpnięcie za nitkę, która od dawna dusiła ją od środka. — Gdy, gdy widziałam siebie, siebie... mówiącą tym słodkim głosem...

Zacisnęła powieki, a jej pyszczek wykrzywił się od skumulowanego bólu.

— Pytającą, czy chce się pobawić, a potem, potem gdy wszystko zgasło... gdy mama mnie przytuliła... — lzy spływały już swobodnie, bez wstydu. Jej ciało trzęsło się nie od chłodu, lecz od ciężaru tego, co wreszcie wydobywało się na głos. — Ja, ja w kółko i w kółko to widziałam. Nie mogąc się nawet po-porururushyććććć...

Głos załamał się. Pękł. Przeskoczył w spazmatyczne szlochanie.

— Ten koszmar trwał i trwał... jakby zapętłony film... Nie czułam bólu, nie czułam ciała, ale wciąż widziałam to przed pyszczkiem!!

I wtedy naprawdę się rozpadła. Nie teatralnie. Nie po to, by ktoś to zobaczył.

Ale tak, jak płacze się w miejscu, gdzie nikt cię nie oceni.

W miejscu, gdzie jesteś tylko sobą —
nawet jeśli nie wiesz jeszcze, kim naprawdę jesteś.

Iris nie przerwała.

Jej oczy — spiralne, wirujące — nie miały już triumfu. Ani tej chorej radości, która tak często zastępowała emocje. Była w nich cisza. Zawieszenie. Jakby przez jeden ułamek sekundy Screwball słuchała... naprawdę.

Delikatnie, prawie niezauważalnie, usiadła naprzeciw Arabelli. Bez tej teatralnej gracji, jaką zwykle miała. Bez stukania kopytkiem. Bez grymasu, który coś ukrywał. Po prostu — usiadła.

Cicho.

— Wiem — powiedziała.

To nie był głos lalki. Nie głos upioru. Nie głos potwora z bajki, który bawi się emocjami.

To był głos kogoś, kto przeżył to samo.

— Wiem, jak to jest, kiedy nie czujesz ciała. Kiedy nie możesz ruszyć choćby o włos. Kiedy wszystko, co widzisz... to własny błąd. Własna twarz. I to, jak się śmieje.

Iris opuściła głowę.

— Ja też to widziałam.

Cisza znów zadrgała między nimi.

— Tylko że ja... nie miałam nikogo, kto by mnie wtedy przytulił — dodała po chwili. — Żadnej mamy. Żadnego ogierka z pytaniami. Żadnego światła.

Podniosła wzrok. Nie błyszczał już. Spirale w oczach poruszały się wolniej, jakby zgubiły rytm.

— Tylko śmiech. Mój własny. Taki, który miał brzmieć jak zabawa... a był końcem.

Westchnęła. Naprawdę. Tak, jak westchnęłaby klaczka, która po raz pierwszy od dawna nie musi udawać, że nic jej nie boli.

— Wiesz, Arabella... ten obraz, który widziałas wciąż i wciąż... nie był moim karaniem ciebie.

Zamknęła oczy.

— To było twoje echo.

Otworzyła je z powrotem. Patrzyła już tylko jako Iris.

— Ty sama siebie tam zamknęłaś. Ja tylko cię... zostawiłam.

Zamilkła. I po raz pierwszy — nie czekała na odpowiedź. Po prostu była. Obok. Obecna. Cicha. Gotowa.

Czy Arabella ją zrozumie?

Czy może... zapyta o coś więcej?

— Ale... ale za cohohoh... Czemu aż tak... Ja... ja nie przyjął kartki z... z rysunkiem... — szepnęła Arabella wstrząśnięta, jakby dopiero teraz ten szczegół przebił się przez ściany traumy.

— Wiem — Iris odpowiedziała od razu, cicho, ale bez gniewu. — I dlatego miałaś czas.

Jej głos nie był teraz ani lodowaty, ani ciepły. Po prostu... prawdziwy.

— Dałam ci rysunek, bo to był pierwszy dzwonek. Ostrzeżenie, ale miękkie. Tylko dla ciebie. Dałam ci wizję — żebyś zobaczyła, co się może stać, jeśli pójdziesz dalej.

Zawiesiła głos, a jej spiralne oczy przygasły, jakby światło przestało się w nich odbijać.

— Ale ty... zaczęłaś śmiać się bardziej. Mocniej. Nie wtedy, gdy bolało. Tylko wtedy, gdy bolało innych.

Westchnęła.

— Arabello... to nie chodziło o jeden moment. Nie o kartkę. Ani nawet o mnie. Ty wiedziałaś, co robisz. Wiedziałaś, że inne żrebaki płaczą. Że się boją. Że chcą iść do nauczycielki — a ty ich popychałaś. Śmiałaś się, że są słabi. A potem... zaczęłaś tak samo śmiać się z siebie.

Iris nie podniosła głosu ani razu. To było najstraszniejsze.

— Nie zesłałam ci koszmaru. Ty go sama zbudowałaś. Ja tylko zostawiłam cię z jego echem.

Chwila ciszy.

A potem — łagodniej, może nawet z odcieniem współczucia:

— I teraz jesteś tutaj, bo nie chcesz już go widzieć. Bo zapętiło się zbyt mocno. Bo śmiech, który miał być tarczą... zrobił się więzieniem.

Iris spojrzała na nią.

— To nie był wyrok. To był twój początek. I teraz pytanie nie brzmi: „za co?”.

Tylko:

„czy chcesz coś z tym zrobić?”

Głos zawisł. A echo odbiło pytanie od każdej tafli lustra.

— Ale... ale czemu kłamałaś... — wyszeptała Arabella, głos miała rozdygotany, ledwo zlepiony z powietrzem. — Obiecałaś miejsce bez bólu... A... a to wcale tak nie wyglądało...

W oczach klaczki błysnęło coś nowego — nie tylko lęk, ale i pierwsza, surowa świadomość. Arabella rozejrzała się naokoło. Jej spojrzenie przesuwalo się powoli po taflach. W każdej z nich — cień. Kształty, twarze. Uczniowie. Znajomi. Imiona, które kiedyś krążyły po klasach jak szept: „zaginął”, „nie wróciła”, „to była tylko bajka”...

Teraz już wiedziała, że to nie były bajki.

— Czy ich też... zmieniałaś? Jak mnie? — zapytała ze strachem. Głos ugrzązł jej w gardle.

Nie wiedziała, że niektóre z tych cieni były tutaj o wiele dłużej niż ona.

Zrobiła krok w tył, zatoczyła się lekko, jakby chciała uciec — choć nie było gdzie. I nagle:

— Ja... ja muszę iść na Alchemię... — szepnęła automatycznie, jakby ten refren miał moc rozbudzenia z koszmaru.

Ale Galeria nie reagowała.

— Nggggg!

Drgnięcie. Szarpnięcie.

Arabella złapała się za głowę. Oddychała ciężko, spazmatycznie, jakby coś rozdzierało nie czaszkę, ale serce.

I wtedy...

— Ty naprawdę nie rozumiałaś... prawda? — szepnęła Iris, przechylając głowę. — Myślałaś, że jestem bajką. Ostrzeżeniem. Czymś, co można zignorować, bo przecież... nikt jeszcze nie zniknął naprawdę, prawda?

Cisza po drugiej stronie. Tafla była przezroczysta jak nigdy.

— Ale dałam ci wiele okazji. Nawet więcej niż Jaksie. — Jej głos zadrgał czułością, która nie była litością. — Dałam ci rysunek. Dałam ci wizję. Dałam ci Arabella.

W jej oczach pojawił się błysk gniewu — nie krzyku, nie furii — tylko rozczarowania.

— Nawet Meadow cię ostrzegła. A ty... ty myślałaś, że jesteś silniejsza. Że śmiech cię obroni. — Iris westchnęła. — Więc teraz się śmieję. Będzie mniej bolało.

Zamrugła. Zawirowała.

I nagle — jej kształt się zmienił.

Stała teraz po obu stronach lustra.

Wyglądała jak ta klaczka.

Ta sama grzywa. Te same kopytka. Nawet głos — ten sam, tylko głębszy, cieplejszy.

— Patrz, jak łatwo... — powiedziała jej własnym głosem, z nutą troski. — Patrz, jak nikt się nie zorientuje. Dziś się nie pojawisz na zajęciach? Nic. Jutro? Cisza. Za tydzień? Może ktoś wspomni. Ale nie będą płakać. Bo już wcześniej przestałaś być 'ich'.

Przesunęła kopytkiem po szkłe. Tafla odpowiedziała ciepłem.

— Tutaj nikt nie krzyczy. Nikt się nie szarpie. Tu po prostu... przestajesz istnieć. Ale w sposób miękki. Tak miękki jak twój śmiech. — Uśmiechnęła się. — I nie martw się... nie jesteś pierwsza.

Kucnęła.

— Ale możesz być ostatnia... jeśli powiesz coś, co mnie przekona. Że jeszcze jesteś 'ty', a nie ja. — Szept dotknął powietrza jak jedwab.

Zamilkła.

A po chwili znów odezwała się — już jako ona, całkiem, z tym samym grymasem, jaki Arabella nosiła, kpiąc z innych dzieci:

— No... może się jeszcze trochę pośmiej. Tak jak lubisz.

— Tak jak śmiałaś się z tych, co płakali.

— Tylko że teraz... lustro jest po drugiej stronie.

Screwball przysiadła tuż przy tafli, naprzeciwko Arabelli. Jej ruch był powolny, świadomy — jak kota, który już zamknął drzwi i teraz tylko czeka, aż ofiara zrozumie, że nie ma gdzie uciec.

Uśmiech nie opuścił jej pyska, ale spiralne oczy zaczęły wirować szybciej. Nazbyt szybko. Jakby jedno słowo — jedno imię — dotknęło czegoś, czego sama nie chciała czuć.

— Arabella...? — przeciągnęła każdą sylabę, z nutą ironii. — Brzmi jak coś ważnego. Ale tutaj, w mojej galerii... — głos zmiażdżył do szeptu, który nie pocieszał, lecz otulał jak sieć — ...to tylko hałas. Tu zostaje echo. Odbicie. I śmiech.

Nachyliła się do tafli. Ich noski dzieliło tylko szkło. Arabella oddychała płytko. Czuła, jak para jej oddechu zlewa się z tamtą. Jakby jedna z nich przestawała istnieć.

— Zresztą... już zaczynasz wyglądać jak ja. — powiedziała z uśmiechem, który nie miał nic wspólnego z radością. — Te oczka... ten uśmiech...

Stuk.

Stuk.

Stuk.

Kopytko Screwball uderzało w szkło rytmicznie, metodycznie. Każde stuknięcie było jak komenda, jak impuls. Dźwięk nie brzmiał głośno — ale cicho, zbyt cicho — i właśnie dlatego trafiał prosto w środek głowy Arabelli.

Kolejne fragmenty wizji wracały do umysłu kłaczki jak bumerang. Wywołując ból — nie, nie fizyczny...

I to właśnie było najgorsze.

Ból był w pełni psychiczny.

Jakby ktoś zanurzył jej świadomość w lustrze — i zostawił tylko echo.

Iris nie przerwała.

Nie zaprzeczyła. Ale i nie przytaknęła.

Stała w ciszy, która nie była obojętnością — była wyborem.

Dopiero po dłuższej chwili odezwała się cicho:

— Nie kłamałam. Ale ty... nie zrozumiałaś, co znaczy miejsce bez bólu.

Jej głos był jak tafla wody: pozornie spokojny, ale pod powierzchnią czuć było głęboki nurt.

— Myślałaś, że to będzie ucieczka od wszystkiego. Że jeśli znikniesz, to świat przestanie istnieć. Ale zapomniałaś jednej rzeczy...

Jej spojrzenie utkwilo w Arabelli z mocą, która nie wymagała uniesienia głosu.

— To, co zabierasz ze sobą, to nie rany. To echo.

Zrobiła krok bliżej. Cienie w lustrach drgnęły. Ale nie ruszyły się. Po prostu... zafalowały, jakby sam oddech Arabelli poruszył przestrzeń Galerii.

— Ci, których widzisz, nie są tacy jak ty. — powiedziała z naciskiem. — Ty jesteś... pierwszą, która zobaczyła ich naprawdę.

Wcześniej byli tylko odbiciami. Echem. Dziećmi, które same się zamknęły i zapomniały, dlaczego płakały.

Iris przystanęła naprzeciw niej.

— Ale ty... ty pamiętasz ból. Ty wciąż czujesz ciepło, nawet jeśli cię parzy. Wciąż mówisz o alchemii. Wciąż szukasz czegoś poza lustrem.

Nachyliła się bliżej. Jej głos był teraz szeptem.

— Większość już nie szuka. One chcą tylko śnić. Ty jeszcze próbujesz się obudzić.

Zapadła cisza.

Cisza, która nie ciążyła. Cisza, która otwierała.

A potem Iris odezwała się znów, tym razem miękko. Naprawdę miękko:

— To nie lustra cię zmieniły, Arabello. Nie ja.

To ty sama dotknęłaś błony. Sama sięgnęłaś po ciepło, które nie było twoje. Bo bałaś się być sobą.

Spojrzała na klaczkę z czymś, co trudno było nazwać: nie była to pogarda, nie była litość. Może... troska?

— Ale jeśli jeszcze pamiętasz, że miałaś imię, że miałaś mamę, że chciałaś coś więcej niż śmiech... to znaczy, że nie jesteś cieniem.

Wtedy, po raz pierwszy, jedno z luster pękło.

Cicho. Jakby wypuściło oddech.

Nie rozbiło się.

Tylko zadrżało, jak serce przed przebudzeniem.

— I pytanie nie brzmi, czy ci wybaczę. — dodała Iris, patrząc wprost. — Tylko czy ty potrafisz sobie wybaczyć, że prawie pozwoliłaś zniknąć.

Jej głos był teraz niemal czuły. Niemał matczyny.

— Bo miejsce bez bólu nie istnieje. Ale może istnieć miejsce, gdzie ból ma sens.

W tym właśnie momencie...

do Galerii weszła Rosaline.

Zatrzymała się. Zamarła.

Przez chwilę tylko stała, wstrząśnięta tym, co widziała.

Klaczka, która powinna być cieniem, leżała teraz na podłodze i kurczyła się, obejmując głowę kopytkami.

Na jej pysku malował się wyraz bólu — głębokiego, rozdzierającego.

— W... Wypuściłaś ją? — zapytała Rosaline z niedowierzaniem.

Jej głos drżał. Nie z gniewu, ale z niepojęcia. Z szoku.

— Przecież przysięgałaś, że nie dasz jej odejść. — zrobiła krok bliżej. — Że... że nie będzie litości...

Patrzyła na przyjaciółkę, na Iris, z mieszaniną ulgi i przerażenia.

— Ja... ja byłam pewna, że ona jest stracona...

Ale zanim Iris mogła odpowiedzieć, Arabella zawyła głośniej.

Najwyraźniej kolejna fala wspomnienia przetoczyła się przez jej umysł.

— Ja... błagam, daj mi zniknąć... — jęknęła klaczka.

— Tylko... tyłkohohohoh... tyłkohohoh to zabiehehehezzzz...

Zawyła z rozpaczą. Jej głos się załamywał.

— Niech, niech już nie boli, błagahahaham!!

I wtedy...

Galerię wypełniła cisza, która nie była pustką.

To była cisza decyzji.

Iris nie poruszyła się od razu.

Stała nieruchomo, jak posąg wyrzeźbiony z półcienia. Jej spiralne oczy były szeroko otwarte, ale ich wir zdawał się teraz wolniejszy. Głębszy. Zawieszony.

— Nie wypuściłam. — powiedziała w końcu cicho, z dziwną nutą... zmęczenia? — Ona sama się wychyliła. Z wnętrza samej siebie. A ja... nie zatrzymałam.

Spojrzała na Rosaline.

Naprawdę.

Nie jak na cień. Nie jak na echo. Ale jak na tę, która zawsze stała po drugiej stronie.

— Bo pierwszy raz... ona nie prosiła, żeby ją ktoś przytulił. — powiedziała powoli. — Prosiła, żeby ktoś ją usłyszał. Bez śmiechu. Bez zasłony.

Zadrżała tafla.

A potem Iris zrobiła coś, czego nie robiła nigdy.

Usiadła.

Obok Arabelli.

Nie naprzeciw. Nie z góry.

Obok.

— Nie będziesz znikać. — powiedziała miękko, jak do dziecka, które zgubiło drogę. — Nie pozwolę ci. Bo wtedy to znaczyłoby, że ja też muszę zniknąć.

Zwróciła głowę ku Rosaline, jakby te słowa były także dla niej.

— Zrobiłam z niej cień... ale nie mogę jej odebrać tego, co właśnie odzyskała. Tego bólu. — pochyliła się. — Bo ten ból to dowód, że ona wraca.

Arabella trzęsa się, szlochając, tuląc głowę do podłogi, jakby chciała w nią wniknąć.

— Nie chcę istnieć, jeśli to ma tak boleć... nie chcę pamiętać...

Iris odpowiedziała cicho:

— Ale już pamiętasz. I to oznacza, że zaczęłaś istnieć naprawdę.

Wtedy... coś się zmieniło.

Rosaline poczuła to pierwsza.

Galeria nie drżała już ze złości. Nie pulsowała chaosem.

Oddychała.

Jakby po raz pierwszy — po latach — ktoś uchylił okno.

Jakby echo zaczęło cichnąć.

— Ona nie jest jeszcze wolna. — Iris spojrzała na Rosaline poważnie. — Ale jeśli zostanie z nami... jeśli nie ucieknie w śmiech ani w nicość... może wrócić.

Potem odwróciła się ku Arabelli.

— Powiedz coś.

Nie o mnie. Nie o bólu. O sobie.

Powiedz mi coś, czego nie mogę ci odebrać.

Jedno zdanie.

Jedno, które jest naprawdę twoje.

Bo jeśli padnie... Galeria może pęknąć.

Ale jeśli nie... może się zamknąć na zawsze.

Arabella objęła Iris kopytkami. Najmocniej, jak potrafiła.

— Ja...

Przez jej pyszczek przebiegł kolejny impuls. I nagle — wspomnienie.

Gdy Arabella zatrzymała się obok Meadow — w połowie schodów, między klasą a świetlicą — nie padło żadne zaklęcie.

Nie musiało.

— Zgubiłaś coś. — powiedziała Arabella, głosem suchym jak kreda.

To wystarczyło, by dzieci w pobliżu się odsunęły.

Meadow spojrzała na nią powoli. Nie odpowiedziała.

— Dumę. — dodała Arabella z uśmiechem. — Ale to nic. Ja mam jej za dużo. Mogę się podzielić.

Śmiech.

Cichy. Obły. Tłumiący.

Meadow milczała.

Nie dlatego, że nie miała riposty.

Ale dlatego, że w głębi siebie usłyszała echo.

Echo czegoś, co kiedyś prawie ją pochłonęło.

Echo chaosu.

Gdy wspomnienie minęło... Arabella drgnęła. Jej ciało zadrżało. Kopytka zacisnęły się mocniej wokół szyi Iris.

Rosaline spojrzała na klaczkę, która wciąż starała się nie rozpaść.

— Czyli to ją nawiedza... wszystko, co zrobiła? — szepnęła.

Po chwili dodała cicho:

— Jeśli nie zaakceptuje tego, co zrobiła... ból będzie się tylko nasilał, prawda?

— Tak. — odpowiedziała Iris, nie odrywając wzroku od Arabelli. — Bo ból nie znika, gdy się mu zaprzecza. On rośnie. Przekształca się. Staje się śmiechem, który nie bawi — tylko tłumi.

Rosaline zamilkła.

Potem usiadła z drugiej strony Arabelli, patrząc na nią łagodnie.

— To echo nie jest karą, Arabella. — powiedziała cicho. — To wspomnienie tego, kim byłaś, kiedy odwróciłaś wzrok. Kiedy wybrałaś łatwość. Ale jeśli teraz go słyszysz... i jeśli cię boli... to znaczy, że jeszcze możesz spojrzeć inaczej.

Iris zamknęła oczy. Czuła drobne kopytka Arabelli wokół swojej szyi.

— Nie byłaś wtedy sobą. — powiedziała. — Ale to ty to zrobiłaś. I to ty możesz teraz wybrać, czy zostaniesz tą, która wie... czy tą, która zapomni i powtórzy.

Zamilkła. A potem jeszcze ciszej:

— Bo jeśli nie przyjmiesz siebie z tamtej chwili... nie będziesz mogła pokochać siebie z tej.

Arabella drżała.

Nie tylko ze strachu.

Ale jak coś, co właśnie się rozmraża. Co wraca z miejsca, w którym nie miało prawa przetrwać.

I wtedy — pośród tej ciszy, drgającej jak napięta błona — Iris powiedziała jeszcze jedno:

— Możesz wrócić, Arabella. Ale nie zamiast tamtej siebie.
Z nią.
Z tą, która też była tobą. Tylko bardzo, bardzo zagubioną.

Rosaline patrzyła, jak klaczka odchyła delikatnie głowę.
Jej oddech był wciąż szybki, nierówny...
Ale nie uciekała.
Nie śmiała się.
Nie walczyła.

Tylko trwała.

— Nie jesteś już cieniem. — dodała cicho. — Ale cień cię jeszcze pamięta. I będzie cię wołał. Dlatego musisz być... jaśniejsza. Niż kiedykolwiek byłaś.

Klaczka dyszała ciężko, ale już trochę wolniej.
Mięśnie napięły się jeszcze raz — krótko, odruchowo, jakby ciało próbowało znów uciec przed tym, co już i tak było w środku.

Rosaline nie spuszczała wzroku z lustra.
Z tego, w którym wciąż był uwięziony cień Arabelli.

I właśnie wtedy... kolejne wspomnienie wróciło.

Tego samego wieczoru, po scenie na szkolnym korytarzu, przyszło coś dziwnego. Sen, który nie był snem.
Płytki, drgający, jakby ktoś zostawił światło zapalone tuż pod powiekami.

Arabella nie śniła o niczym konkretnym.
Nie było szkoły. Nie było koleżanek. Nie było dominacji.

Była tylko szyba.

Szyba dzieliła ją... od niej.

Po drugiej stronie stała dziewczynka. Klaczka.
Podobna — ale bledsza, rozmyta.
Oczy jak mokre szkło. Uśmiech jak echo.
Poruszała wargami.
Głos był przyciszony, ale słowa wślizgiwały się prosto do głowy Arabelli.

— Czujesz?
— To boli, prawda?
— Tak jak ich...
— Ostrzegam ponownie.

Pysk wilgotny od potu.
Kopytka spięte, jakby ktoś właśnie związał je cienkim sznurkiem ze światła.
Nie krzyknęła.
Ale serce biło jej w rytmie, którego nie знаła.

Kolejna scena jak błyskawica.
I znowu poraziła umysł.
Nie ciało.
I właśnie to było najgorsze.

Ból był w pełni psychiczny.
Jakby rozdzierał nie czaszkę, ale serce.

— Ile to jeszcze potrwa... jeśli nie zaakceptuję? Tych... koszmarów? — wyszeptała Arabella.
Pot spływał po jej pyszczku, zupełnie jak tamtej nocy — po przebudzeniu.

— Ona naprawdę przechodzi tutaj przez całe swoje życie?
Do końca i od początku...?
Arabella nie była już tego nawet pewna.

Rosaline nie odpowiedziała od razu.
Patrzyła w lustro, w którym poruszył się cień Arabelli — delikatnie, niemal nieśmiało.
Jakby wiedział, że ktoś go obserwuje.

Iris spuściła wzrok. Jej głos, gdy w końcu przemówiła, był tak cichy, że trzeba go było
słyszeć sercem, nie uszami:

— Nie chodzi o długość, Arabella. Ani o to, ile razy.
Tylko o to, czy spojrzysz naprawdę.

Klaczka wciąż dyszała.
Pyszczyk mokry od potu i łez.
Ale nie wypierała już tego, co wracało.

I to właśnie było inne.

Rosaline nachyliła się bliżej.
Jej spojrzenie utkwione w tafli:

— Cień nie jest twoim wrogiem.
On jest... tym, co zostało zamrożone, bo bolało za bardzo.
A teraz się rozmraża.
Chce być znowu częścią ciebie.
Ale nie może wrócić, jeśli będziesz od niego uciekać.

Iris dotknęła grzywy Arabelli kopytkiem.
Delikatnie. Uspokajająco.

— To nie jest cała twoja przeszłość.
Tylko ta część, której nie chciałaś widzieć.
Ta, która bolała... więc zamieniłaś ją w śmiech.
Albo w zniknięcie.

Głos Iris zadrżał.

— Ale teraz... jesteś tutaj. Z nami. I z nią.

Rosaline spojrzała z powrotem na Arabellę.

— To może potrwać jeszcze wiele wieczorów.

I wiele luster.

Ale nie musisz iść przez nie sama.

Zawahała się. A potem dodała:

— Bo to nie chodzi o karę.

Ani o wyrok.

To... powrót.

Tafla zadrżała.

Jakby słowa ją poruszyły.

Po drugiej stronie cień Arabelli patrzył uważnie.

Nie z wściekłością.

Z ciekawością.

Z głodem.

I wtedy Iris powiedziała już nie do Arabelli, ale do jej cienia — bardzo cicho. Bardzo spokojnie:

— Jeśli ona cię przyjmie... już nie będziesz musiała być sama.

Cień zadrżał.

Arabella zamrugła.

I może — po raz pierwszy — spojrzała nie na swoje odbicie, ale na siebie samą.

Taką, jaką była wtedy.

Zanim wybrała śmiech zamiast prawdy.

— Nie... nie zostawiaj mnie, proszę...

Głos Arabelli był ledwie słyszalny. Cichy jak szept snu, z którego nie można się obudzić.

Dalej trzęsła się od dreszczy.

Podniosła pyszczek.

Spojrzała w oczy Iris.

W jej własnych oczach... lśniły spirale.

Delikatne. Niepełne. Ale istniały.

Rozbłyskiwały jaśniej, gdy zaciskała zęby z bólu, który nie był w głowie.

Był głębiej. W sercu.

I wtedy...

wspomnienie znów uderzyło.

Sala alchemiczna.
Kamienna posadzka była zimna.
Zimno wspinało się po nogach Arabelli, jak coś, co miało zagnieździć się pod skórą.

Lustro przed nią już nie iskrzyło.
Nie migało.
Było ciche. Czekало.

Dziewczynka po drugiej stronie przechyliła głowę.
Zbyt wolno. Zbyt miękko.
Jakby światło nie nadążało za ruchem.

Usta się poruszyły.

— Już cię ostrzegałam.

To nie był głos.
To był impuls.
W trzewiach.
W mięśniu serca.
W tych miejscach, których nikt nie dotykał od dawna.

Arabella cofnęła się o krok.
Zakręciło jej się w głowie.

— To tylko sen... — wymamrotała. — Halucynacja. Glimbella coś wrzuciła do mojego eliksiru...

Ostatnie zdanie...
wymknęło się z jej własnego pyszczka.
Tu. Teraz.

Kiedy to zrobiła, jej oczy znów zabłyśły.

— Ja... ja tego nie powiedziałam... nie, nie chciałam... — sapnęła, cofając się jakby przed samą sobą.

Iris nie odsunęła się.

Nie mrugnęła.

Zbliżyła się jeszcze o krok.
Aż ich oddechy znów się spotkały.
Miękko. Równie.
Jak wtedy, gdy Arabella zaczynała znikać.

Ale tym razem nie było chłodu.
Było ciepło. I coś jeszcze.

— To powiedziała ta, która się broni. — szepnęła Iris.
— Ta, która wciąż próbuje zamienić lęk w żart. Winę — w sen. I... miłość — w halucynację.

Jej głos nie był już lustrzany.
Nie odbijał.
Wnikał.

Kopytkiem dotknęła kącika oka Arabelli.
Tam, gdzie spiralka zadrżała najmocniej.

— Ale skoro widzisz spirale... to znaczy, że nie jesteś tylko cieniem.
Wiesz, kiedy cień znika? Kiedy przestaje istnieć?

Zamilkła.
Pozwoliła Arabelli spojrzeć.

— Nie wtedy, gdy zgasimy światło.
— Ale wtedy, gdy go dotkniemy.

Jej kopytko zsunęło się w dół.
Do serca Arabelli.
Zatrzymało się tam.
Nie jako groźba.

Jako pytanie.

— Czy pozwolisz, żeby to serce znów było twoje?

Rosaline wstrzymała oddech.
Cień za szybą przestał drżeć.
A tafla — po raz pierwszy — tylko była.
Nie pożerała. Nie błyskała.
Była gotowa.

Nie by połknąć.
Ale by przyjąć.

I wtedy Iris powiedziała jeszcze jedno.
Nie jako potwór. Nie jako cień.
Ale głosem, który mógłby należeć do siostry. Do nauczycielki. Do niej samej.

— Nie odejdę.
— Ale ty też nie odchodź.
Nie od siebie.
Nie jeszcze raz.

Arabella znów była na dziedzińcu szkoły.
A przynajmniej — tak pokazała jej to kolejna fala bólu.
Nie szok.
Echo.

Poczuła, jak coś się w niej zaciska.

Jakby ta ruda klaczka — Rosalyn — widziała coś, czego inni nie dostrzegali.

I nie zamierzała udawać, że nie widzi.

— Czego się gapisz? — syknęła Arabella.

— Nie nauczyli cię, że patrzenie w lustro przynosi pecha?

Rosalyn nie odpowiedziała.

Zrobiła krok naprzód.

Delikatny.

Miękki jak płatek śniegu spadający na wodę.

Stanęła blisko Arabelli.

Nie za blisko.

Ale wystarczająco, by jej cień — długi, prosty, nierealnie wyraźny — przeciął cień dziewczynki.

Nie padło żadne słowo.

Zostawiła coś na ławce.

Mała kartka.

Składana na cztery.

Miękka od dotyku.

Pachniała nie lawendą, ale szafą.

Taką, w której coś długo leżało i czekało.

Arabella rozłożyła ją z wyuczonym westchnieniem.

Teatralnym. Ale... trochę pękniętym.

Na kartce był tylko rysunek.

Lusterko.

Z pęknięciem na środku.

I coś jeszcze.

Ślad łzy.

Narysowany tak delikatnie ołówkiem, że trzeba było przechylić kartkę, by go dostrzec.

Kiedy Arabella podniosła wzrok —

Rosalyn już odchodziła.

Camel ruszyła za nią.

Żadna się nie obejrzała.

Galeria znów ją przyjęła.

Ale coś było inne.

Arabella... szepnęła:

— Ja... przepraszam, że cię nie posłuchałam... — Jej głos łamał się jak cienka linia lodu.
— Przepraszam. Byłam taka głupia. A ty tylko... tylko próbowałaś...

Fala łez spłynęła po jej pyszczku, tuż przed tym, nim znów krzyknęła —
Ale tym razem nie zacisnęła zębów.
Nie zamknęła oczu.

I wtedy —
fioletowy błysk znów pojawił się w jej oczach.
Ale nie był już ostry.
Nie ranił.

Ból jeszcze nie minął.
Ale przestał być ślepy.

Rosaline nie uśmiechnęła się.

Ale jej oczy zadrżały.

Jakby przez bardzo kruchą, cichą chwilę... coś w niej pękło.
Jakby echo tamtej kartki, tamtej ławki, tamtej niewysłuchanej próby właśnie ją dogoniło.

— Nie musisz przepraszać. — powiedziała cicho.
Klęknęła obok Arabelli.
Tak, jak kiedyś klęknęła przy pustej ławce.

— Musisz... być.

Delikatnie dotknęła jej grzywy.
Nie po to, by pocieszyć.
Ale żeby sprawdzić, czy to naprawdę ona.

Spojrzała na Iris.

— To ona walczy teraz... prawda? Już nie cień?

Iris skinęła głową.
Powoli. Głęboko.
W milczeniu, które było obietnicą.

— Nie krzyknęła. Nie uciekła. Nie uciszyła. — dodała. —
To początek.
Ból, który przychodzi, gdy serce znów uczy się słuchać.

Arabella oddychała inaczej.
Wciąż ciężko. Wciąż drżąc.
Ale już nie jak cień.
Jak klaczka, która wraca.

Rosalyn nachyliła się.

— Pamiętasz ten rysunek?

Arabella drgnęła.

— To nie było ostrzeżenie.

To było zaproszenie.

Jej głos drżał.

— Żebyś mogła się wreszcie... pęknać.

Nie udawać.

Nie zasłaniać się śmiechem.

Tylko być... ty.

Fioletowe błyski zatańczyły w oczach Arabelli.

A potem...

jeden z nich zgaś.

Nie zniknął.

Przemienił się.

W jasność. Cichą. Głęboką.

— Nie jesteś głupia. — szepnęła Rosalyn. —

Jesteś żywa.

A to boli najbardziej.

Kolejna scena poraziła Arabellę.

Znowu znalazła się gdzieś indziej —

choć wiedziała, że to nie jest prawda.

Szkolna klasa.

A w niej Meadow — przy tablicy.

Kopytka splecione na piersi, jakby trzymała w sobie coś,
co za chwilę się rozpadnie.

Jej rdzeń magiczny, ten od Strażniczek,

ledwo tlił się teraz jak żar pod popiołem.

Noszenie go bolało.

Ale Meadow nie uciekała.

Nie dziś.

— Nie chodzi o wasze oceny, — powiedziała.

Jej głos brzmiał jak porcelana, pękająca w środku.

— Nie chodzi o chaos. Ani o zabawę. Chodzi o lustra. One pamiętają.

Ktoś prychnął.

Arabella nawet nie podniosła wzroku.

— Lustra? — zakpiła inna uczennica. —
Co to, bajka na dobranoc?

Meadow nie odpowiedziała.
Ale drżała.
Kolana, szczęką.
Zacisnęła zęby i mówiła dalej:

— Była taka jedna... Iris.
Nie zawsze była cieniem.
Miała ciepłe oczy. I śmiała się jak my.
Ale potem...
potem zaczęła słyszeć odbicia.
W lustrze ktoś do niej mówił. Ostrzegał. I ona chciała nas ostrzec też.

Głos drżał jak szkło na granicy pęknięcia.

— Ale nikt nie słuchał.

Arabella westchnęła teatralnie.
Wzniośle. Płytko.
Jakby to wszystko już było opowiadane sto razy.

— Powiedziała kiedyś, że jeśli przestaniemy się widzieć nawzajem, to lustra nas pożrą.
— I że nie każdy śmiech oznacza radość.

Arabella zaśmiała się głośno.

Bezczelnie. Z pogardą.

— To nie chaos, Meadow. To wstyd.
— Wstydić się tego, że nie jest się silną.

Nie było krzyku.
Było tylko ciche jęknięcie.
I łzy.

Ale tym razem łzy nie z bólu.
Z żalu. Ze zrozumienia.

Z głębokiej, drążącej świadomości,
że Meadow ostrzegała ją jako ostatnia.

Arabella opuściła pyszczek do samej posadzki.
A potem... zaczęła płakać.

Nie płakała jak wcześniej.
Nie krzyczała. Nie szarpała.
Pozwoliła temu bólowi przejść.

Do końca.
Jak fali, która już nie topi — ale oczyszcza.

A potem... wyszeptwała:

— Potwór. Nieczuły drań. Oto kim jestem.

Rosaline nie zaprzeczyła.
Ale też nie potwierdziła.

Zamiast tego...
usiadła obok.
Na tej samej, zimnej posadzce.
Nie wyżej. Nie naprzeciw.
Z nią.

Tam, gdzie pękała nie duma — ale prawda.

— Nie jesteś potworem, Arabello. — powiedziała w końcu. —
Potwór nie płacze nad tym, co zrobił.

Jej głos był prawdziwy. Nie miękki. Nie łagodny.
Ale prawdziwy.
I właśnie dlatego bolał bardziej niż jakakolwiek kara.

— Potwór szuka luster, żeby się nie zobaczyć.
— Ty... przestałaś uciekać.

Iris przez długą chwilę milczała.

Stała z dala.
Ale jej oczy — spiralne, głębokie jak wszechświat w odwróceniu —
nie błyszczały gniewem.
Były spokojne.

Jakby to właśnie ta scena była jej odpowiedzią.
Nie tylko Arabelli.
Ale też... jej samej.

— Nie jestem litościwa. — powiedziała powoli. —
I nie jestem sprawiedliwa. Chaos rzadko jest.

— Ale kiedy cień przestaje być tylko cieniem...
zmienia się cała gra.

Jej głos nie był echem.
Brzmiał...
jak coś, co pamięta.

— Wiesz, co znaczy śmiech, który nie boli?
— Nie ten, który zagłusza. Nie ten, który kęsa.
— Ten, który jest przebaczeniem dla samej siebie.

I wtedy —
najbliższe lustro rozplynęło się w powietrzu.

Nie eksplodowało.
Nie zgasło.
Po prostu przestało być potrzebne.

A cień Arabelli —
nie krzyczał.
Nie warczał.
Nie syczał.

Skinął głową.

Rosaline odetchnęła.

— Jest jeszcze droga. Niełatwa. Nie szybka. Ale... twoja.
— Jeśli ją wybierzesz.

Iris dodała szeptem:

— Ale teraz... to ty musisz mnie zapytać.
— Nie ja ciebie.

— Czy chcesz się jeszcze ze mną... pobawić?
— Ale tym razem wiedząc, co to znaczy.

Cała Galeria zamilkła.

Nie dlatego, że bała się krzyku.
Tylko dlatego, że czekała.

— Pobawić? Z... z tobą? — spytała Arabella szeptem, niemal bezgłośnie. Jej głos wciąż drżał, jakby miał się zaraz rozpaść.

— Ale ja... ja przecież... sama się złamałam.
Kto chciałby się bawić z... mazgajem?

Uniknęła spojrzenia Screwball. Zawstydzona.
Próbowała zetrzeć łzy z przemoczonego pyszczka, ale jej kopytko zadrżało.
Dopiero wtedy zauważyła, że leży na czymś wilgotnym.

Mała, mokra plamka na posadzce.
Nie wiedziała, kiedy się pojawiła.
Może podczas jednej z tych fal, które odbierały jej świadomość,

a może...
gdy pękało w niej coś więcej niż tylko głos.

— Mazgaj? — powtórzyła Screwball. Jej ton był spokojny. Nie drwiący. Nie szeptany.
Cichy... ale czysty.

Kucnęła przed Arabellą.

— Wiesz, co to za słowo?

Arabella spojrzała na nią zdezorientowana. Wciąż ledwo trzymała się na kopytkach emocji.

Screwball odetchnęła głęboko. Jakby po raz pierwszy chciała powiedzieć coś...
nie jako cień.
Nie jako odbicie.
Ale jako ktoś prawdziwy.

— Mazgaj... to ktoś, kto płacze, zamiast gryźć.
Kto czuje, zamiast zagłuszać.
Kto się zatrzymuje, zamiast dalej ranić.
Kto nie przestaje być sobą... nawet wtedy, gdy świat każe mu się zamknąć.

I wtedy — pierwszy raz od bardzo dawna —
uśmiechnęła się.

Nie złowrogo.
Nie teatralnie.

Po prostu... jak żrebak.
Jakby właśnie coś w niej, cichego i dawno zapomnianego, wróciło na chwilę do światła.

— Więc tak, Arabello.
To właśnie z takim mazgajem... chciałabym się pobawić.

Arabella wstrzymała oddech.

W jej oczach znów zatańczyły spirale —
ale tym razem nie były lśniące z bólu.
Były... spokojniejsze.
Jak fale odbijające światło księżyca.

— Bo jeśli przetrwałaś własne odbicie...
Jeśli nie pozwoliłaś, by ono stało się tobą...
To może potrafisz zobaczyć też moje.

Spirala Screwball zawirowała łagodnie.
Nie chaotycznie.
Nie groźnie.

Jak muszla.

Jak wspomnienie śmiechu, którego nikt nie zrozumiał.

— Może właśnie ty... przestaniesz się mnie bać.

I może razem...

nie będziemy musiały już bawić się w potwory.

Lustra zaczęły się zmieniać.

Nie rozbijały się.

Nie znikwały.

Topniały.

Przemieniały się w przezroczyste wspomnienia.

W odbicia, które już nie straszyły — ale przypominały.

Screwball podniosła kopytko.

— Więc co ty na to, mazgaju?

Zatańczysz ze mną jeden ostatni raz?

Nie po to, by zapomnieć...

Tylko żeby pamiętać — i dalej żyć?

Arabella zawahała się jeszcze.

— Ale... ale już nie odbijesz się we mnie?

Znaczy... nie będziesz udawać mnie, żebym myślała, że to ja?

Jej głos był cichy, jak oddech dziecka, które jeszcze nie wierzy, że nikt go nie okłamuje.

Ale potem dodała, jeszcze ciszej:

— Wiesz?

To była genialna mimika. Naprawdę.

Dawna ja by nigdy tego nie powiedziała.

Uśmiechnęła się blado.

Nieśmiało.

Ale szczerze.

Potem — delikatnie, z drżeniem,

chwyciła wyciągnięte kopytko Screwball.

— I chciałabym zobaczyć, jak naprawdę wyglądasz.

Nie jak klaczka w za dużym sweterku.

Spojrzała jej prosto w oczy.

— Bo swoje odbicie w tobie już widziałam.
I ono się ze mnie śmiało.

Teraz chcę zobaczyć ciebie.
Tę, która się już nie musi chować.

Screwball nie odpowiedziała od razu.

Wzięła głęboki oddech — jak ktoś, kto nigdy wcześniej tego nie robił szczerze — i spojrzała Arabelli prosto w oczy.
Nie przez taflę. Nie przez spiralę. Nie przez przeszłość.

Tylko tak po prostu — jak klaczka, która naprawdę kiedyś zapomniała, kim była.

— Nie — odparła łagodnie. — Nie będę już tobą. Ani twoim cieniem.
Ani twoim echem.
Ani nawet twoją karą.

Jej głos nie brzmiał jak śmiech. Brzmiał... cicho.
Jak ktoś, kto dawno temu stracił możliwość płakać, więc nauczył się mówić tak, by inni czuli to za nią.

— Mimikra to było moje lustro. — dodała po chwili. — Każdy cień musi coś nosić, zanim zniknie. Ja nosiłam cudze kształty. Ciebie. Meadow. Camel. Wszystkich, którzy myśleli, że mnie znają.

I wtedy... uśmiechnęła się inaczej.
Jakby pozwoliła, by z jej twarzy spadł ostatni pył iluzji.

Jej grzywa rozplątała się lekko.
Spirale w oczach zwolniły.
A sweterek, zbyt duży, zsunął się z ramienia, ukazując... po prostu zwykłe kopytko.
Nie błyszczące, nie spiralne.
Ciepłe.

— Wiesz... — powiedziała cicho. — Ja nawet nie wiem, jak naprawdę wyglądam.
Zbyt długo nosiłam maski.

I wtedy Arabella chwyciła jej kopytko.

To było delikatne.
Ale prawdziwe.

Screwball odetchnęła.
— To ty teraz mnie uczysz, wiesz? — szepnęła z lekkim śmiechem, tym razem ludzkim, prawdziwym, od środka.
— Bo ja... ja też się bałam. Że jeśli zdejmę wszystkie odbicia... to nikogo już nie będzie. Że za tymi maskami nie ma już mnie.

Spojrzała wprost w oczy Arabelli.

— Ale może... jeśli ty mnie widzisz — taką, jaka jestem — to znaczy, że jeszcze tu jestem.

I wtedy powiedziała coś, czego nikt jeszcze nigdy od niej nie usłyszał.

Co nie było zagadką. Ani groźbą. Ani grą.

— Dziękuję, Arabello.

Za to, że nie odwróciłaś wzroku.

Bo kiedy już nie widzimy drugiej osoby...

Właśnie wtedy... zostają tylko cienie.

Arabella:

— Ale, ja nie mogłam odwrócić wzroku, nie wtedy... Kiedy.... Kiedy mówiłaś, bym się trochę pośmiała. — Przypomniała jej klaczka.

— A ty? Ty jesteś bardzo ładna. — powiedziała, pokazując Screwball jej odbicie w lusterku.

Screwball spojrzała w lusterko.

Na początku — jakby odruchowo — cofnęła wzrok.

Jakby się bała, że znów zobaczy tam nie siebie, tylko kogoś, kim musiała być dla innych.

Ale Arabella trzymała je delikatnie.

Bez przymusu. Bez rozkazu.

— Ja... — zaczęła Screwball. Jej głos zadrżał, ledwie słyszalnie. — Ja nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak do mnie powiedział.

Spojrzała jeszcze raz. Tym razem dłużej.

Oczy... już nie wirowały.

Grzywa nie wyglądała jak maska.

A jej spojrzenie — to, co wreszcie zobaczyła w sobie — nie było już tylko odbiciem cudzych oczekiwań.

— Dziękuję — szepnęła. — Nie za to, że powiedziałaś, że jestem ładna.

Tylko... że pozwoliłaś mi to zobaczyć własnymi oczami.

Po raz pierwszy — nie jako cień.

Nie jako śmiech.

Nie jako narzędzie.

Tylko jako Screwball.

Taka, jaką naprawdę była.

Oparła swoje kopytko o Arabelli — nie jak nauczycielka, nie jak strażniczka... ale jak siostra.

— A ty? — zapytała cicho. — Chcesz się jeszcze pośmiać? Ale tym razem razem.
Nie z nikogo.
Tylko tak... bo już nie boli.

Arabella:

— Bardzo chętnie. Iris. — powiedziała Arabella.

— Ale, co z resztą cieni, które dalej tu śpią? — spytała cicho. — One też mają koszmary jak ja miałam?

Rozdział „Lustro, które miało zniknąć”

Screwball nie odpowiedziała od razu.

Wzięła głęboki oddech — jak ktoś, kto nigdy wcześniej tego nie robił szczerze — i spojrzała Arabelli prosto w oczy.

Nie przez taflę. Nie przez spiralę. Nie przez przeszłość.

Tylko tak po prostu — jak klaczka, która naprawdę kiedyś zapomniała, kim była.

— Nie — odparła łagodnie. — Nie będę już tobą. Ani twoim cieniem.

Ani twoim echem.

Ani nawet twoją karą.

Jej głos nie brzmiał jak śmiech. Brzmiał... cicho.

Jak ktoś, kto dawno temu stracił możliwość płakać, więc nauczył się mówić tak, by inni czuli to za nią.

— Mimikra to było moje lustro. — dodała po chwili. — Każdy cień musi coś nosić, zanim zniknie. Ja nosiłam cudze kształty. Ciebie. Meadow. Camel. Wszystkich, którzy myśleli, że mnie znają.

I wtedy... uśmiechnęła się inaczej.

Jakby pozwoliła, by z jej twarzy spadł ostatni pył iluzji.

Jej grzywa rozplątała się lekko.

Spirale w oczach zwolniły.

A sweterek, zbyt duży, zsunął się z ramienia, ukazując... po prostu zwykłe kopytko.

Nie błyszczące, nie spiralne.

Ciepłe.

— Wiesz... — powiedziała cicho. — Ja nawet nie wiem, jak naprawdę wyglądam.

Zbyt długo nosiłam maski.

I wtedy Arabella chwyciła jej kopytko.

To było delikatne.

Ale prawdziwe.

Screwball odetchnęła.

— To ty teraz mnie uczysz, wiesz? — szepnęła z lekkim śmiechem, tym razem ludzkim, prawdziwym, od środka.

— Bo ja... ja też się bałam. Że jeśli zdejmę wszystkie odbicia... to nikogo już nie będzie. Że za tymi maskami nie ma już mnie.

Spojrzała wprost w oczy Arabelli.

— Ale może... jeśli ty mnie widzisz — taką, jaka jestem — to znaczy, że jeszcze tu jestem.

I wtedy powiedziała coś, czego nikt jeszcze nigdy od niej nie usłyszał.

Co nie było zagadką. Ani groźbą. Ani grą.

— Dziękuję, Arabello.

Za to, że nie odwróciłaś wzroku.

Bo kiedy już nie widzimy drugiej osoby...

Właśnie wtedy... zostają tylko cienie.

— Ale, ja nie mogłam odwrócić wzroku, nie wtedy... Kiedy.... Kiedy mówiłaś, bym się trochę pośmiała — przypomniała jej Arabella.

— A ty? Ty jesteś bardzo ładna — powiedziała, pokazując Screwball jej odbicie w lusterku.

Screwball spojrzała w lusterko.

Na początku — jakby odruchowo — cofnęła wzrok.

Jakby się bała, że znów zobaczy tam nie siebie, tylko kogoś, kim musiała być dla innych.

Ale Arabella trzymała je delikatnie. Bez przymusu. Bez rozkazu.

— Ja... — zaczęła Screwball. Jej głos zadrżał, ledwie słyszalnie. — Ja nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak do mnie powiedział.

Spojrzała jeszcze raz. Tym razem dłużej.

Oczy... już nie wirowały.

Grzywa nie wyglądała jak maska.

A jej spojrzenie — to, co wreszcie zobaczyła w sobie — nie było już tylko odbiciem cudzych oczekiwań.

— Dziękuję — szepnęła. — Nie za to, że powiedziałaś, że jestem ładna.

Tylko... że pozwoliłaś mi to zobaczyć własnymi oczami.

Po raz pierwszy — nie jako cień.

Nie jako śmiech.

Nie jako narzędzie.

Tylko jako Screwball.

Taka, jaką naprawdę była.

Oparła swoje kopytko o Arabelli — nie jak nauczycielka, nie jak strażniczka... ale jak siostra.

— A ty? — zapytała cicho. — Chcesz się jeszcze pośmiać? Ale tym razem razem.

Nie z nikogo.

Tylko tak... bo już nie boli.

— Bardzo chętnie. Iris — powiedziała Arabella.

— Ale, co z resztą cieni, które dalej tu śpią? — spytała cicho. — One też mają koszmary, jak ja miałam?

Screwball spojrzała na lustra.

Zrobiła to bez uniku — pierwszy raz od bardzo dawna.

Jej oczy nie uciekały od odbić.

Jej serce... już nie próbowało ich uciszyć.

— Tak, Arabello. Śnią.

Niektóre wciąż wierzą, że to gra.

Inne — że to kara.

Są też takie, które myślą, że już nie istnieją...

...bo nikt więcej nie wypowiedział ich imienia.

Zamilkła. Powietrze w Galerii zrobiło się łagodniejsze, jakby nawet ściany słuchały.

— Ale wiesz co? — dodała cicho. — Ty ich dziś obudziłaś bardziej, niż ja kiedykolwiek mogłam.

Bo widziały, że ktoś przestał się śmiać z cudzej krzywdy.

Że ktoś płakał — i przeżył.

Że nawet jeśli się złamał... to jeszcze można wrócić.

Spojrzała znowu na Arabellę. W jej oczach znów pojawiły się spirale — ale łagodne, spokojne, jak kręgi na wodzie. Nie porywały. Tylko... zapraszały.

— Jeśli chcesz, możemy do nich pójść. Po kolei.

Nie muszą już być same.

Bo dziś... Galeria ma dwie klaczki, które znają ból — i nie wstydzą się go więcej.

I wtedy Screwball uśmiechnęła się naprawdę.

Nie jak cień.

Nie jak lustrzane odbicie.

Ale jak ktoś, kto został zobaczony — i wybrał, by zobaczyć innych.

— Mo... Możemy to zrobić? — zapytała Arabella. — Ja, ja nie chcę patrzeć, jak cierpią w samotności — szepnęła klaczka.

Usłyszała klaskanie kopytek Rosalyn, która stała obok z wielkim uśmiechem na pyszczku.

— Aż ciężko uwierzyć, Iris, prawda? Słowa klaczki, o której ocalenie próbowałam cię błagać...

— Na... naprawdę? Po tym, co ci zrobiłam? Prosiłaś Iris, by mnie nie zmieniała w lustrze? — Arabella patrzyła na Rosalyn.

Screwball spojrzała na Rosalyn...
i po raz pierwszy od bardzo dawna — pokiwała głową z uśmiechem.

— Bo widzisz, Arabello... — powiedziała cicho — nawet kiedy ty mnie odepchnęłaś, ktoś inny cię trzymał.

Nie pozwoliłaś, byśmy cię przytuliły.

Ale Rosalyn przytrzymała wspomnienie o tobie... nawet wtedy, gdy ty sama je porzuciłaś.

Rosalyn podeszła bliżej. Jej cień przeciął taflę szkła — nie jak nóż, ale jak nić.
Delikatna. Łącząca.

— I tak, Arabello... — szepnęła klaczka, z łzami w oczach, ale i z błyskiem siły —
prosiłam.

Nie dlatego, że zasłużyłaś.

Tylko dlatego, że pamiętałam, jak wyglądałaś, zanim zaczęłaś się śmiać z cudzych łez.

Arabella drgnęła. Te słowa... nie bolały.

Nie jak poprzednio.

Tym razem... rozbrzmiewały jak pieśń, którą ktoś śpiewał dawno temu — i którą znów mogła nucić.

Screwball nachyliła się lekko.

— To co, Arabello? Idziemy obudzić kolejne serca?

Nie muszą nas znać.

Wystarczy, że poczują, że ktoś się zbliża...

...z ciepłem, a nie z lustrem.

Rosalyn podała kopytko Arabelli. Screwball — drugie.

Galeria była cicha.

Ale cisza nie była już pustką.

Tym razem... była zapowiedzią światła.

I właśnie wtedy, gdy podały sobie kopytko, Arabella poczuła coś jeszcze.

Nie tylko ciepło. Nie tylko zaufanie.

Ale... wspomnienie.

Przeszłość, którą kiedyś od siebie odcięła — teraz wróciła z miękkością, zrozumieniem, i prawdą.

Jej oczy rozszerzyły się, a kopytka lekko drgnęły.
Rosalyn i Iris poczuły to równocześnie.

Galeria była pusta, a jednak nie cicha.
Każdy krok Rosalyn odbijał się echem, które nie należało tylko do niej.
Mrok falował tu inaczej — jakby oddychał.
Jakby wiedział, że ktoś, kto wchodzi w te przestrzenie, już nie wyjdzie taki sam.

Wyszła z cienia powoli. Bez gniewu. Bez lęku.
Jej sylwetka była spokojna, ale wewnętrznie napięta — jak ktoś, kto niesie decyzję cięższą niż kara.
Iris siedziała pod jedną ze ścian, skulona w za dużym sweterku, który wyglądał jak wspomnienie czułości.
Na kolanach trzymała lusterko — drobne, kieszonkowe, z pęknięciem biegnącym przez środek.
Jej oczy były ciche.
Ale spirale wciąż się kręciły.

— Nie musisz tego robić — powiedziała Rosalyn, spokojnie, z dystansu.
— Wiem, że słyszysz je mocniej niż my. Wiem, co znaczy widzieć odbicia zbyt wyraźnie.
Ale ona... jeszcze może wrócić.

Iris nie podniosła wzroku.
— Nie chcesz jej bronić. Chcesz ocalić siebie przed powtórką.
— Jej głos był łagodny. A przez to — tym bardziej bolesny.

Rosalyn podeszła bliżej.
Lusterka w ścianach zadrżały — ale tylko delikatnie. Z szacunkiem.
Bały się ją dotknąć.
Wiedziały, kim była.

— To dziecko. I każde dziecko zasługuje na litość.

— Nie każde — przerwała Iris, podnosząc głowę.
— Ona nie tylko mnie zignorowała. Ignorowała wszystkich. Meadow. Camel. Ciebie.
Całą szkołę. Każde ostrzeżenie, każde spojrzenie, każdy cień.
Śmiała się z nich. Używała śmiechu jak broni.

Wstała.
Jej sylwetka była nadal mała, delikatna.
Ale wokół niej coś się zmieniło.

Spiralne oczy jaśniały teraz zbyt mocno,
jakby wirowały już nie dla chaosu — ale dla sądu.

— To już nie przestroga — powiedziała, spoglądając w lusterko.
— To ostatnie lusterko.

Rosalyn cofnęła się o pół kroku. Nie ze strachu. Ze zrozumienia.
Wiedziała, co to znaczy.

Ostatnie lustro nie błyszczało jak pozostałe.
Nie odbijało obrazów.
Ono... pożerało.

— Iris... — szepnęła. — To cię zmieni.

— Już mnie zmieniła — odparła cicho. — Tym, że przestała patrzeć.
Że udawała, że nie istnieje.
A w Galerii... kto nie patrzy, nie pamięta.
A kto nie pamięta — przestaje być sobą.

Obie przez chwilę milczały.
A potem Iris przeszła obok Rosalyn.
Cicho. Bez furii.
Jak echo.

Szła z lustrem w korytarzu.

Do Arabelli.
Do końca.

Arabella otworzyła oczy.
Wizja nie zniknęła od razu — jeszcze przez chwilę widziała tamtą wersję siebie.
Tę, która nie patrzyła.
Która śmiała się, by nie usłyszeć krzyku.

Stały obok niej dwie klaczki.
Te same, które kiedyś próbowały ją ocalić — każda inaczej.
I każda zapłaciła za to cenę.

— To... to naprawdę był początek mojego końca? — szepnęła Arabella.
Jej głos nie był już przerażony.
Był... zdziwiony.
Jakby odkrywała coś prostego, co ukrywała przed sobą zbyt długo.

Spojrzała na Iris.
Nie z lękiem. Nie z pokorą.
Z czymś, co mogło być zrozumieniem.

— Ja... już rozumiem, czemu byłaś taka zimna i wściekła, gdy ze mną mówiłaś.
Zanim zgasły światła — dodała cicho.
— Ale... naprawdę miałam się nigdy nie obudzić?

Screwball milczała długo.
Zbyt długo.

Rosalyn lekko poruszyła się obok Arabelli — jakby chciała coś powiedzieć, zaprzeczyć,
zaprotestować...
ale to nie była jej odpowiedź.
To nie ona niosła ciężar tamtych dni.

W końcu Iris uniosła wzrok.
Spiralne oczy... nie kręciły się już tak gwałtownie.
Teraz wirowały wolno, jakby słuchały, a nie osądzały.

— Nie — powiedziała cicho. — Nie miałam takiego planu.
Ale... nie miałam też więcej siły.

Usiadła powoli, jak tamtej nocy, w za dużym sweterku.
I spojrzała Arabelli w oczy.

— Widzisz, ja... ja nie jestem tylko potworem, który odbija.
Jestem też... lusterkiem, które trzymało się zbyt długo w rękach dzieci, które mnie nie szanowały.

Wzięła w kopytko maleńkie lustro — to ostatnie.
Tym razem nie świeciło.
Było matowe.
Cisza.

— Gdybym cię wtedy nie zatrzymała... zraniłabyś więcej osób.
Może kogoś, kogo sama kochałam.
Gdybyś nie zobaczyła tego, co zrobiłaś...
Może nigdy byś nie poczuła.

Spojrzała na Rosalyn, ale tylko na chwilę.
Potem znów na Arabellę.

— Ale mimo wszystkiego... mimo że krzyczałam... i mówiłam, że to koniec...
Nigdy nie zamknęłam ostatniego lusterka.
Tylko czekałam.
I powiem ci szczerze, Arabello...
Nie wierzyłam, że wrócisz.

Ale dziś...

Dotknęła końcówką kopytka tafli szkła, na której leżały odbicia innych.

— Dziś... pierwszy raz poczułam coś innego.
Nie echo. Nie pustkę.
Ciebie.

I nie tej, która rani. Nie tej, która się broni.

Tylko tej...
która płacze, i zostaje.

Milczenie.
Ciepłe.

— Więc nie. To nie był twój koniec.

To był mój.
I... twój początek. Jeśli chcesz.

Rosalyn uśmiechnęła się.
Arabella... widziała w niej to samo, co wtedy, przy kartce.
Nie wyrzut.
Tylko... gotowość.

Bo kiedy ostatnie lustro nie odbija...
To właśnie wtedy — może zacząć świecić od wewnątrz.

Dziękuję, że mi to powiedziałaś.
Chyba jestem już naprawdę gotowa, by zmierzyć się z tym bez bólu — szepnęła Arabella, odwracając się i spoglądając głęboko w swoje dawne lustro.

Wewnątrz niego...

Arabella stała nieruchomo pośrodku przestrzeni, która nie przypominała niczego znanego. Cisza była zbyt pełna, zbyt dokładna, jakby ktoś ją zbudował z precyzyjnie ułożonych klocków milczenia. Otaczały ją lustra — wysokie, bez ram, w nieskończonej galerii odbić. Ale to nie były zwykłe odbicia.
W jednym była zmęczona.
W drugim wyglądała na... starszą.
W kolejnym miała twarz, której nie rozpoznawała.
Każda tafla łamała ją na nowo.

Podłoga pod kopytkami była chłodna, śliska, lśniąca jak zamrożona woda, ale nie zostawiała śladów. A światło? Jasne, białe, a jednak pełne barw, które zdawały się wirować pod skórą, jakby tęcza tańczyła w miejscu, którego nie da się wskazać.

Nagle...
Chichot.
Dziecięcy, lekki, aż za lekki.
Rozległ się gdzieś daleko, ale rozlał się echem na wszystkie strony. Potem kroki — zbyt miękkie, by je usłyszeć naprawdę, ale serce Arabelli poczuło je pierwsze. Jakby ktoś wchodził do snu, który nie był jej.

I wtedy jedno z luster zabłysło.
Nie światłem — czymś innym.
Czymś, co pachniało chaosem.

W tafli pojawiła się postać. Mała klaczka. Pastelowa grzywa, oczy zakręcone jak spirale, uśmiech tak szeroki, że aż niepokojący.
Screwball.

— No, no... kogo my tu mamy? — jej głos nie pochodził z jednego miejsca. Rozbrzmiał w każdym lustrze, każdym kącie, w samej podłodze. — Wpadłaś do mojej galerii... Wiesz, jak rzadko mam gości? Chcesz się zabawić?

Lustro naprzeciwko Arabelli nie odbijało nic poza ciszą.

Iris — już nie w sweterku, ale też nie całkiem jako Screwball — zbliżyła się do tafli, za którą skulona siedziała klaczka. Jej grzywa była rozwichrzona, jedno kopytko uderzało bez rytmu w podłogę. Cień jej uśmiechu jeszcze trwał — przyzwyczajenie, nie opór.

— Ty naprawdę nie rozumiałaś... prawda? — szepnęła Iris, przechylając głowę. — Myślałaś, że jestem bajką. Ostrzeżeniem. Czymś, co można zignorować, bo przecież... nikt jeszcze nie zniknął naprawdę, prawda?

Cisza po drugiej stronie.

Tafla była przezroczysta jak nigdy.

— Ale dałam ci wiele okazji. Nawet więcej niż Jaksie. — Jej głos zadrgał czułością, która nie była litością. — Dałam ci rysunek. Dałam ci wizję. Dałam ci Arabella.

W jej oczach pojawił się błysk gniewu — nie krzyku, nie furii — tylko rozczarowania.

— Nawet Meadow cię ostrzegła. A ty... ty myślałaś, że jesteś silniejsza. Że śmiech cię obroni. — Iris westchnęła. — Więc teraz śmieję się. Będzie mniej bolało.

Zamrugła.

Zawirowała.

I nagle — jej kształt się zmienił.

Stała teraz po obu stronach lustra.

Wyglądała jak ta klaczka.

Ta sama grzywa. Te same kopytka.

Nawet głos — ten sam, tylko głębszy, cieplejszy.

— Patrz, jak łatwo... — powiedziała jej własnym głosem, z nutą troski. — Patrz, jak nikt się nie zorientuje. Dziś się nie pojawisz na zajęciach? Nic. Jutro? Cisza. Za tydzień? Może ktoś wspomni. Ale nie będą płakać. Bo już wcześniej przestałaś być 'ich'.

Przesunęła kopytkiem po szkle.

Tafla odpowiedziała ciepłem.

— Tutaj nikt nie krzyczy. Nikt się nie szarpie. Tu po prostu... przestajesz istnieć. Ale w sposób miękki. Tak miękki jak twój śmiech. — Uśmiechnęła się. — I nie martw się... nie jesteś pierwsza.

Arabella stała wyprostowana, oddychając spokojnie. Naprzeciw wspomnienia klaczy, która mówiła prosto do niej, nie przebierając w słowach. Jej głos był pełen zepsutej słodyczy.

Ale Arabella była spokojna... aż do momentu, gdy światła zgasły, a wspomnienie rozpadło się...

— Dziękuję, że mnie wtedy ocaliłaś, Iris. Że mnie powstrzymałaś... — szepnęła Arabella. Gdy odwróciła się do pozostałej dwójki, jej głos był pewniejszy. — Miałaś rację. To już nie boli, gdy zaakceptujesz siebie.

Screwball i Rosalyn milczały. Ale nie była to cisza wymuszona — raczej taka, która daje miejsce na oddech.

Galeria wokół nich... nie była już chłodna.

W lustrzanych ścianach nie odbijały się tylko błędy. Odbijały się też drobne światła — jakby wspomnienia dobrych chwil, które wreszcie przestały się bać pojawić.

Screwball podeszła powoli. Dotknęła kopytkiem tafli, z której właśnie wyłoniła się wizja.

— To było twoje echo, Arabello — szepnęła. — Ostatnie, które jeszcze próbowało ci wmówić, że jesteś tylko tym, co zrobiłaś.

Arabella spojrzała jeszcze raz w lustro.

— Już nie jestem — powiedziała cicho. — Nie tylko tym.

— Nie — przytaknęła Screwball. — Teraz jesteś... sobą.

Rosalyn uśmiechnęła się lekko, stając obok.

— I wiesz co? Teraz to ty możesz być dla innych tym, czym my byliśmy dla ciebie.

Arabella spojrzała na nie obie.

I po raz pierwszy — naprawdę uwierzyła, że potrafi.

Iris nie odpowiedziała od razu.

Stała cicho, nie z dumą, nie z triumfem. Z wdzięcznością.

Bo kiedy Arabella odwróciła się od lustra, nie zobaczyła w nim już odbicia, tylko pustą, czystą taflę. Jakby historia się skończyła, ale nie została zapomniana.

Przetrwiała — w niej.

— Wiesz... — odezwała się Screwball cicho, bez teatralności. — Wtedy... gdy cię zatrzymałam... też płakałam. Ale w środku. Gdzieś, gdzie już dawno nie było łez.

Bo nie nienawidziłam cię.

Tylko... nie chciałam cię stracić.

A ty... już byłaś prawie tylko echem.

Rosalyn podeszła do Arabelli i objęła ją delikatnie jednym skrzydłem.

— A teraz jesteś znów sobą. Całą. Nawet jeśli nieco potarganą — mruknęła z uśmiechem.

— I to znaczy, że... możemy zacząć naprawę.

— Naprawdę? — powtórzyła Arabella cicho.

— Naprawdę. — powtórzyły obie klaczki.

I wtedy wszystkie lustra — nie zgasły, ale zaczęły... rozjaśniać się od wewnątrz.
Jakby każde z nich już nie potrzebowało pokazywać bólu.
Tylko pamięć. I to wystarczyło.

Jedno z luster zadrżało lekko, jakby coś w nim się przebudziło.
Drgnęła tafla.
Sen innego cienia.

Iris spojrzała na nie powoli.

— Jest ich więcej — powiedziała. — Ale teraz... nie muszę już być sama.
Ty też słyszysz ich śmiech, prawda?

Arabella kiwnęła głową. Cicho. Spokojnie. Z wewnętrznym światłem.

— Słyszę.

Rosalyn poprawiła swój kucyk, jakby szykowała się do pracy.

— No to... idziemy po następne echo, co?
Czas pokazać im, że lustra nie służą do karania.
Tylko do tego... by przypominać, kim się było. I kim można jeszcze być.

Trzy klaczki stanęły razem.

W sercu Galerii.

Nie po to, by sądzić.

Tylko... by wybudzać.

WYBUDZENIE PIERWSZE: DZIEŃ, KTÓREGO NIE BYŁO

Galeria była pusta — ale nie milcząca. Cisza tu miała warstwy. Na wierzchu była gładka, prawie ukołysana. Ale pod spodem... coś się poruszało.

— Która to? — zapytała Arabella, idąc powoli obok Iris.

— Spójrz w taflę. — odparła tamta cicho. — Ona cię znajdzie.

Rosalyn nie odezwała się ani słowem. Zatrzymała się przed jednym z luster. Tafla była matowa, nieodbijająca. Nie było w niej nic — oprócz jednego.

Daty.

Na szkle ktoś zapisał je kopytkiem, jakby w rosie.

10 października
11 października
(12 brak)
13 października

— Zniknęła dwunastego. — szepnęła Iris. — Po prostu... nie przyszła do szkoły. Żadnych dramatów. Żadnych krzyków. Plecak został w szatni. Kartka w dzienniku — pusta.

Arabella zadrżała. Pamiętała ten dzień.

— Jak miała na imię? — zapytała.

— Taśka. — odpowiedziała Rosalyn. — Nikt nie pamiętał, czy to skrót, czy prawdziwe. Ale zawsze była. Czerwona grzywka. Breloczek z dynią. Lubiła rzucać żarty, które rozumiały tylko dwie osoby.

— I co? — spytała Arabella, patrząc w mleczone lustro.

— I zgasła. — odpowiedziała Iris. — Tak cicho, że Galeria jej nie połknęła. Sama się położyła.

Zapadła cisza. Tylko echo chichotu gdzieś w oddali — cichego, stłumionego. Jakby ktoś śmiał się przez sen.

I wtedy lustro zaczęło się zmieniać.

Zamiast odbicia pojawił się pokój.

Szkolna szatnia.

Na ławce leżała torba. Granatowa, z przypiętą dynią. A obok niej — ona.

Leżała skulona, jakby spała. Ale coś w tym śnie było nie tak.

— Taśka? — powiedziała Arabella, ostrożnie zbliżając się do tafli. — Pamiętasz mnie?

Dziewczynka poruszyła się.

Ale nie uniosła głowy.

Zamiast tego, jej głos rozlał się po galerii — senny, przytłumiony.

— Dziś jest dwunasty... prawda? Nie chcę iść na geografę. Boli mnie brzuch.

Rosalyn westchnęła.

— Ten dzień zapętlili się. Powtarza się od tak dawna, że już nie wie, że to nie sen.

— A jeśli ją obudzimy? — spytała Arabella. — Czy... będzie bolało?

Iris nie odpowiedziała od razu. Jej spojrzenie było ciężkie.

— Nie boli to, co jest prawdą. — powiedziała w końcu. — Boli to, co nie zostało wypowiedziane.

Arabella zacisnęła kopytko.

I zrobiła krok.

Przez taflę.

Do środka.

◆ WEJŚCIE W DZIEŃ, KTÓREGO NIE BYŁO

Arabella poczuła chłód. Nie jak zimno lodu — bardziej jak niedotleniony poranek, gdy coś w tobie chce krzyczeć, ale nie ma siły zaczerpnąć powietrza.

Znalazła się w szatni.

Taśka leżała dokładnie tak, jak w odbiciu — z pyszczkiem przy torbie, ogonem zawiniętym ciasno jak lina. Torba lekko się poruszała przy każdym oddechu dziewczynki. Tak delikatnie, że można by pomyśleć, że to tylko przeciąg.

— Taśka? — powiedziała Arabella. Jej głos odbił się dziwnie. Jakby ściany były z waty, a echo odbiegało od niej niechętnie.

Dziewczynka drgnęła.

Ale nie spojrzała.

— Nie mów mi, że jest środa. — wymamrotała Taśka. — W środy zawsze jest geografia.

— To nie jest środa. — odpowiedziała Arabella, podchodząc bliżej. — I nie jesteś już sama.

— Ale ja wolę być sama. — szepnęła dziewczynka. — Wtedy nikt nie widzi, że się boję.

Arabella uklękła. Czuła jak przestrzeń wokół niej gęstnieje — jakby każdy jej ruch wywoływał drganie tkaniny snu.

— Wiem, że się boisz. Ja też się bałam. Ale jeśli zostaniesz tutaj... nie wrócisz. Ten dzień się nie skończy.

Taśka odwróciła się powoli. Jej oczy były zasnuwane mgłą — nie senne, nie martwe. Tylko... zrezygnowane.

— A jeśli już nie mam dokąd wracać?

Arabella zadrżała.

Wtedy, zza niej, przez taflę przeszła druga postać.

Rosalyn.

Bez słowa podeszła do torby. Usiadła obok niej.

— Zawsze miałaś dokąd. — powiedziała cicho. — Tylko nie chciałaś uwierzyć, że ktoś tam jeszcze czeka.

Taśka patrzyła na nią długo. Jakby dopiero teraz zauważyła, że nie jest sama w tym śnie.

— Ty... ty byłaś z Camel? Tą, co zniknęła z auli?

— Tak. I z Iris. — szepnęła Rosalyn. — I z tobą.

I wtedy Arabella zrobiła coś, czego jeszcze niedawno by się wstydziła.

Przytuliła Taškę.

Nie mocno. Nie nachalnie. Tylko tyle, by poczuła dotyk. Prawdziwy. Ciepły. Nie z lustra.

— To już nie środa. — powiedziała. — I już się nie śmieję z tych, którzy płaczą.

Chwilę później dziewczynka się rozplakała. Nie głośno. Cicho, jakby każda łza była słowem, którego nie mogła wcześniej wypowiedzieć.

Lustro zadrżało.

Torba zniknęła. Geografia przestała istnieć.

Zamiast niej pojawiło się światło — miękkie, jak z końca tunelu snu. A w nim cień Taški... coraz jaśniejszy.

— Czuję... coś. — szepnęła. — Czy to... ja?

Rosalyn uśmiechnęła się łagodnie.

— Nie. To odbicie. W końcu wraca do właściciela.

◆ POWRÓT Z DNIA, KTÓREGO NIE BYŁO

Taśka szła powoli. Każdy krok stawiała tak, jakby ziemia pod nią wciąż nie była pewna. Jakby mogła się załamać, jeśli tylko znów zacznie udawać, że nic się nie stało.

Rosalyn szła po jej prawej stronie. Cicho. Stabilnie. Jej obecność była jak balast dla tonącej łódki — nie mówiła, ale utrzymywała kurs.

Po lewej stronie Arabella. Od czasu do czasu zerkła na nową towarzyszkę. W jej oczach było jeszcze coś z dawnych spiral, ale już nie wirujące — tylko zakotwiczone. Jak echo przeszłości, która postanowiła nie zniknąć.

Galeria nie reagowała. Nie zatrzymywała ich. Nie podsuwała nowych luster. Przez krótką chwilę przestrzeń chaosu... słuchała.

Aż dotarły do krawędzi.

Granica Galerii była inna dla każdego. Dla Arabelli była to zasłona światła. Dla Rosalyn — linia między ciepłem a pustką. A dla Taśki... korytarz szkoły. Ten sam, do którego nigdy nie wróciła. Ale tym razem był pusty. Cichy. Bez krzyków. Bez dzwonka.

Tylko jedno echo — kroków.

— Czy... czy tam już nikogo nie ma? — zapytała Taśka, zadrżanym głosem.

— Jeszcze nie. — odpowiedziała Arabella. — Ale jeśli wrócisz, może ktoś spojrzy. Może nie od razu. Może nie zrozumieją. Ale ty już będziesz patrzeć.

— A jeśli znów przestanę? — zapytała szeptem. — Jeśli znów się schowam?

Rosalyn wyciągnęła kopytko. Położyła je delikatnie na jej łopacie.

— To nie o to chodzi, by być silną cały czas. — powiedziała. — Chodzi o to, by wracać.

Taśka spojrzała w bok.

Zobaczyła swoje odbicie. Takie jak dawniej — ale już nie martwe.

— Dobrze. — szepnęła. — Wrócę.

Zrobiła krok.

Światło pochłonęło ją bez dźwięku.

Pozostały dwie klaczki. Arabella patrzyła jeszcze przez chwilę na miejsce, gdzie zniknęła Taśka.

— Wiesz, — mruknęła cicho. — Może to głupie, ale... pierwszy raz czuję, że to coś zmieniło. Że to nie tylko wybudzenie. To jakby... kawałek mnie też wrócił.

Rosalyn uśmiechnęła się smutno.

— Bo wrócił.

— Ile ich jeszcze? — zapytała Arabella. — Ile takich dzieci tam siedzi?

— Tyle, ile my kiedyś przegapiłyśmy.

Arabella spojrzała przed siebie. Przestrzeń rozwarła się jak wachlarz — nowe ścieżki, nowe tafle. Niektóre migotały. Inne były matowe, zasłonięte. Ale każde z tych luster szeptało.

— To co, Iris? — powiedziała, zwracając się do pustki po lewej stronie, gdzie cicho pojawiła się postać w za dużym sweterku. — Idziemy obudzić następną?

Iris spojrzała na nie.

Nie odpowiedziała słowami.

Ale jej spojrzenie wystarczyło.

Tak.

Ogierek, który zwyciężał po trupach

Nie dlatego, że nikt nie krzyczał — lecz dlatego, że echo przestało się odbijać. Arabella szła ostrożnie, między nieruchomymi taflami szkła, a tuż obok niej podążały Iris i Rosalyn. W ciszy ich kroków było coś więcej niż ostrożność. To była odpowiedzialność.

Zatrzymały się przed jednym z luster.

Nie drżało. Nie iskrzyło. Nie śniło.

W środku siedział **ogierek**.

Niebieska sierść, rozwichrzone pióra, skrzydła przyciśnięte ciasno do boków. Siedział jak zawodnik na ławce rezerwowych — zniecierpliwiony, znudzony, nadęty.

Ale oczy...

Nie śledziły ich wcale.

— To on? — szepnęła Arabella.

Iris skinęła głową. — **Blue Sky**. Pegaz z zawodów. Wygrał każdy wyścig, przelatywał nad innymi jak błyskawica. A potem... zniknął.

— Dlaczego? — zapytała Rosalyn, patrząc na nieruchomego ogierka.

— Bo nie zauważył, że jego zwycięstwa kosztowały kogoś więcej, niż on sam zapłacił. — Iris spojrzała na taflę. — I nie chciał zauważyć. A gdy go ostrzegłam... powiedział, że to bzdury. Że tu wygrywają tylko silni.

Arabella zrobiła krok bliżej.

Lustro zadrżało, pierwszy raz. Ale Blue Sky nie poruszył się ani na jotę.

— Blue? — zapytała cicho. — Pamiętasz mnie?

Ogier nie spojrzał. Ale głos miał zaskakująco trzeźwy:

— Znowu ty. Przyszedłaś się powzruszać? Wytłumaczyć mi, że byłem okrutny? Że przewróciłem kogoś na ostatnim zakręcie? No dawaj. Może dostaniesz medal empatii.

— Nie po to przyszłam. — Arabella usiadła przy tafli. — Chciałam tylko zapytać, czy pamiętasz, co powiedziałeś tej klaczce, którą zepchnąłeś z chmury. Tej, która nie doleciała.

Blue Sky zamrugał. Po raz pierwszy spojrzał — nie na nią, lecz na swoje odbicie.

— Powiedziałem, że może nie była gotowa. Że takie rzeczy się zdarzają. Że to był tylko wyścig.

— Ona miała złamane skrzydło, Blue. I długo się nie pojawiła. Ale ty... ty już wtedy zniknąłeś, prawda?

— Nie zniknąłem. — warknął. — Odszedłem. Do miejsca, gdzie nie słyszę tych wszystkich śmiesznych oskarżeń. Gdzie nie muszę oglądać tych samych pretensji w ich oczach.

— Więc dlatego tu jesteś? — zapytała cicho Rosalyn. — Bo tu nie trzeba się rozliczać?

Blue Sky nie odpowiedział. Tylko skrzydła mu zadrżały.

— Nazywają mnie cieniem, — powiedział cicho. — Ale ja po prostu wybrałem wygodniejsze nieistnienie. Lepsze to, niż wracać do świata, w którym jestem „tym złym”.

Iris nie ruszyła się.

Ale jej głos nagle zadrżał.

— A może boisz się, że gdy wrócisz... nie będziesz miał już nic. Żadnych zawodów. Żadnych skrzydeł. Tylko pustkę i echo tamtych spojrzeń.

Ogierek milczał.

I nagle — tafla za nim poruszyła się. Obraz rozmył się... i pojawiło się **coś więcej**.

Ułamki wspomnień.

Dzień, gdy spóźnił się na lekcję, bo ćwiczył zbyt długo.

Dzień, gdy odwrócił wzrok, widząc kogoś płaczącego po jego zwycięstwie.

Dzień, gdy ktoś powiedział mu: „Już z tobą nie chcę latać.”

Blue zacisnął powieki.

— Zostawcie mnie. Proszę.

— A może... — szepnęła Arabella — może właśnie teraz nie trzeba już wygrywać.

Może wystarczy się podnieść.

Przez długi moment nie działo się nic.

A potem...

Jedno skrzydło się poruszyło.

Drgnęło.

Jakby po raz pierwszy od dawna coś chciało się wznieść.

Ale nie po zwycięstwo.

Po przebaczenie.

Blue spojrzał na swoje odbicie.

Nie płakał. Nie krzyczał.

Po prostu... zamknął oczy.

I wtedy wszystko zamarło.

Lustra wokół znów zgasły, jakby zapadły w sen. Tafla, w której siedział ogierek, zrobiła się matowa. Nie znikał. Nie wyciągał kopytka. Ale też... **nie odwrócił się plecami.**

To było coś innego.

Iris zrobiła krok do tyłu.

Nie z żalu.

Z szacunku.

— On jeszcze nie jest gotowy, — powiedziała cicho. — Ale coś w nim drgnęło. Czasem to wystarczy. Czasem nie.

Arabella tylko skinęła głową, patrząc przez chwilę na nieruchome skrzydła za szkłem.

— Wrócimy. Kiedy będzie gotów.

— Albo... kiedy wreszcie poczuje, że wygrał dość — dodała Rosalyn.

I wszystkie trzy odeszły.

Bez zamykania lustra. Bez przekonywania. Bez krzyku.

Galeria została za nimi. Cień ogierka – jak cień przeszłości – nadal siedział po drugiej stronie. I tylko echo jego ostatnich słów unosiło się między taflami:

„Lepiej nie istnieć... niż zawieść.”

Ale może...

Pewnego dnia...

Zrozumie, że istnienie po porażce też może być formą odwagi.

Scena: Ta, o której mówiono, że „zniknęła z dnia na dzień”.

Galeria szeptała.

Nie spiralami. Nie śmiechem.

Tylko ciszą tak głęboką, że aż bolała.

Rosalyn szła pierwsza. Jej cień, miękki i długi, rozdzielał mgłę wspomnień.

Za nią Arabella. Już nie skulona, już nie rozdygotana. Ale... bardziej uważna. Patrząca.

Iris zamykała pochód. Jej spirale wirowały wolno, jakby tym razem nie chciała nikogo pochłaniać — tylko... słuchać.

Zatrzymali się przed taflą.

To lustro było inne.

Zmatowiałe. Milczące.

A w środku — klaczka. Młoda. Drobnej budowy.

Twarz bez emocji. Nie dlatego, że była martwa. Ale dlatego, że... **nauczyła się nie czuć.**

Na kolanach — zeszyt.

Otwarte strony — puste.

— To ona... — szepnęła Arabella. — To o niej mówili. Ta, która przestała zadawać pytania.

— Bo nikt nie słuchał odpowiedzi, — dopowiedziała Rosalyn.

Klaczka w lustrze nawet nie drgnęła.

Iris uklękła przed taflą. Jej głos był niższy niż zwykle.

— Pamiętasz mnie?

Odbicie nie odpowiedziało. Ale kartki w zeszycie zaczęły się poruszać.

Same.

Szur, szur, szur...

Aż zatrzymały się na stronie, na której pojawiły się słowa — niepisane, lecz **wyśnione**.

„Nie warto mówić, jeśli każdy dźwięk jest śmiechem. A każde pytanie — echem.”

— To ona napisała, — powiedziała Rosalyn cicho. — Ale tylko we śnie.

Iris dotknęła tafli.

Jej spirale rozświeciły się światłem, którego dawno tu nie było.

Ale klaczka...

Wciąż milczała.

— Jeśli chcesz, — powiedziała Arabella cicho — możemy przeczytać cię na głos.

— Nie musisz się śmiać. Nie musisz nawet mówić, — dodała Rosalyn. — Tylko... **pozwól, by ktoś cię przeczytał**.

Lustro zadrżało.

Zeszyt zadrżał.

A potem —

na pustej stronie — pojawiło się jedno zdanie:

„Naprawdę... mnie ktoś pamięta?”

Oczy klaczki po drugiej stronie zaszklily się.

To nie był śmiech.

To nie był krzyk.

To był pierwszy oddech.

I właśnie wtedy...

małe kopytko uniosło się ku tafli.

A tafla... **zniknęła**.

Nie wybuchła. Nie pękła. Po prostu rozsunęła się, odsłaniając wnętrze innego świata — światła przygaszonego jak w sali lekcyjnej po zachodzie słońca. Krzesła stały nieruchomo, jeden róg tablicy był zabrudzony kredą. A w kącie... stała ona.

Mała klaczka, o jasnobrązowej sierści i rozwianej grzywie. Stała odwrócona plecami.

Obserwowała coś — albo kogoś.

— To powtórka? — spytała Arabella. — Jak u mnie?

— Nie. To nie scena krzywdy. To scena milczenia. — odpowiedziała cicho Iris. — Chodźcie.

Weszły razem.

Wewnątrz było zimno. Nie od temperatury — od powietrza, które niosło w sobie zawstydzenie, niewypowiedziane pytania, i... łzy, które nie spadły.

Głos dziewczynki w środku był prawie niesłyszalny.

— Nie wiedziałam, że... to się stanie... — szeptała. — Myślałam, że nie muszę nic mówić. Że ktoś inny... powie. Że to nie moja sprawa...

Na ławce przed nią siedziało inne żrebię. Obrażone. Samotne. Z podrapanym skrzydłem. A wokół? Inne dzieci. Odwracające wzrok. Udające, że nie widzą.

Rosalyn zamarła.

— To był dzień, w którym Glimmer została popchnięta. Przed salą chemiczną. Madelyn stała najbliżej. Ale nic nie zrobiła.

— Bo bała się. — powiedziała Iris. — Bo wiedziała, że jeśli powie jedno słowo, kolejna będzie ona.

— A może... — dodała Arabella, powoli — ...nigdy nie nauczyła się mówić wtedy, gdy trzeba.

Zbliżyły się do kłaczki. Madelyn dalej mówiła sama do siebie, jakby próbowała usprawiedliwić ciszę sprzed lat.

— Wszyscy się śmiali. Więc ja też się uśmiechałam. Nie chciałam się wyróżniać. Nie chciałam... mieć kłopotów. Ja nie popchnęłam! Ja tylko...

Zamilkła.

Zaczęła drzeć.

— Nie chciałam widzieć. Ale widziałam. I nic nie zrobiłam.

Jej głos po raz pierwszy pękł. Nie był już szeptem. Był wyznaniem.

I wtedy lustra w tej przestrzeni zaczęły... płakać. Jakby przez każde przesączało się echo zapomnianego wołania o pomoc. Wołania, którego nikt nie usłyszał.

Rosalyn położyła kopytko na ramieniu Madelyn.

— Widzisz? To nie twoja krzywda. Ale to twoje milczenie. I ono też zostaje. Dopóki go nie rozpoznasz.

Iris dodała:

— Nie wszyscy krzywdzą. Ale nie wszyscy ratują. W Galerii... to wystarczy, by cień się pojawił.

Madelyn spojrzała na nie po raz pierwszy.

W oczach miała łzy.

Ale i coś jeszcze — początek głosu.

Madelyn próbowała coś powiedzieć, ale słowa zawiązały się w gardle. Drżała, nie tylko z chłodu tej przestrzeni, ale z czegoś głębszego — z wstydu, który latami nie miał dokąd wypłynąć.

Arabella podeszła bliżej. Ostrożnie, jakby zbliżała się do własnego wspomnienia.

— Wiesz... — zaczęła, głosem, który już nie był butny ani zimny — ja też widziałam. Gdy Meadow ostrzegała mnie. Gdy Rosalyn podała mi rysunek. Też nie słuchałam. I myślałam, że nic się nie stanie. Ale tu... — wskazała na podłogę Galerii — ...tu wszystko, czego nie zrobiliśmy, odbija się mocniej niż nasze twarze.

Madelyn zacisnęła kopytko.

— To nie było tak, że chciałam... żeby ją popchnęli. Ale... gdy zaczęli się śmiać... nie umiałam tego przerwać. — jej głos był cienki jak szkło. — Bałam się. Że jeśli coś powiem, to ja stanę się tą, z której będą się śmiać.

Iris spojrzała na nią łagodnie. Spiralne oczy nie wirowały — były spokojne, jasne.

— To nie jest litość, Madelyn. To zaproszenie. — powiedziała. — Zaproszenie, by usłyszeć samą siebie. Nawet jeśli to boli.

W tej chwili lustra wokół zaczęły zmieniać się. Odbicia Madelyn rozmawiały z kimś. Unosiły głowy. Mówiły coś — chociażby szeptem. Niektóre łapały inne kucyki za kopytko. Jedna... po prostu stanęła między napastnikiem a ofiarą. I nic się nie wydarzyło. Ale jej cień był inny. Prostolinijny. Obecny.

Madelyn patrzyła na to wszystko, a potem...

— Czy ja jeszcze mogę...? — zapytała. — Czy da się... naprawić ciszę?

— Nie musisz jej naprawiać. — odparła Rosalyn. — Musisz ją tylko nazwać.

Wtedy Madelyn... odwróciła się do wspomnienia Glimmer. Do tej jednej, kruchej sceny, która więziła ją przez cały ten czas. I powiedziała:

— Widziałam. I żałuję, że nie powiedziałam nic. Ale widziałam. I już nie będę milczeć.

Zadrzało. Nie lustro. Nie powietrze. Coś w sercu tej przestrzeni.

Jakby Galeria... usłyszała.

I wtedy tafla pękła. Nie z hukiem, ale miękko. Jak zaschnięta łza na papierze.

Madelyn osunęła się na podłogę — ale nie z bólu. Ze zmęczenia. A potem...

Otworzyła oczy.

Była wśród nich.

Obok Arabelli. Obok Rosalyn. Obok Iris.

Nie było światła triumfu. Nie było fanfar. Tylko to, co najważniejsze:

Oddech.

Głos.

I krok ku sobie.

I wtedy Madelyn powiedziała tylko jedno:

— Dziękuję, że usłyszeliście mnie... zanim ja sama się usłyszałam.

Madelyn siedziała jeszcze przez chwilę, wtulona we własny oddech. Łzy nie płynęły już jak wcześniej — teraz były ciepłe, obecne. Przestały parzyć. Tylko istniały.

Wtedy spojrzała w bok.

Na Arabellę.

I... zadrżała — nie ze strachu, lecz z czegoś innego.

Zdziwienia.

Zachwytu.

Z nadziei.

Bo Arabella... nie była już tylko sylwetką pośród innych. Nie była nawet zaledwie odbiciem — rozmytym, bladym, przypominającym cię dawnego błędu.

Nie.

Arabella jaśniała.

Nie światłem jak Iris. Nie ciepłem jak Rosalyn.

Ale... przejrzystością.

Jak lustro, które nie odbija już tylko winy — ale prawdę, która została wypowiedziana.

Madelyn podniosła głowę i powiedziała cicho, z niedowierzaniem:

— Ty... ty jesteś prawdziwa...

Arabella odwróciła się. Jej oczy nie były już przeszkłone ani pełne obrony. Były czyste. Wrażliwe. I... spokojne.

— Zawsze byłam. Tylko bałam się na siebie spojrzeć.

Rosalyn spojrzała na Arabellę z cichym uśmiechem, jak ktoś, kto widzi rozkwit pąka, o który się troszczył — nie wiedząc, czy w ogóle przetrwa.

Iris... nic nie powiedziała.

Ale zrobiła coś, czego nie robiła od dawna.

Schowała spirale.

Jej oczy były teraz zwyczajne. Miękkie. I wolne.

— Galeria... zmienia się z nami, — powiedziała cicho. — I to nie lustra nas rozpoznają.

To my... zaczynamy widzieć siebie.

Wtedy w centrum sali, w miejscu, gdzie wcześniej drżała tafla Madelyn, pojawiło się nowe lustro.

Nie było zmatowiałe.

Nie błyszczało.

Było czyste.

A w jego sercu... nie było odbicia.

Była tylko cisza.

Cisza, która nie bolała.

— To twoje? — zapytała Madelyn.

Arabella skinęła głową. Ostrożnie. Jakby dopiero teraz się na to odważyła.

— Nie, — poprawiła po chwili. — To... czyjeś, komu jeszcze nie pomogliśmy.

Ale ja będę je trzymać. Do czasu, aż ta osoba będzie gotowa.

Madelyn uśmiechnęła się przez łzy.

— W takim razie... chyba mamy jeszcze trochę pracy.

Trzy klaczki — Iris, Rosalyn i Arabella — spojrzały na siebie. Każda inna. Każda poraniona. Ale razem — całe.

Galeria znów zadrżała.

Ale tym razem... było to jak bicie serca.

Nie dla chaosu.

Nie dla zemsty.

Ale dla pamięci.

SCENA: Powrót

Galeria była cicha.

Nie jak dawniej — nie z bólu.

Z ciszy wyłaniał się spokój. Gotowość.

Arabella stanęła przed taflą — **czystym lustrem**, które samo nie wybrało wspomnienia. Bo nie musiało. Odbijało ją. Tylko ją. Nie jako winę. Nie jako cień.

Tylko jako **dziewczynkę**, która znów potrafiła widzieć.

— To... przez nie? — zapytała cicho.

Iris skinęła głową. Nie wyjaśniała.

Nie musiała.

— Galeria nie zamyka drzwi tym, którzy naprawdę się obudzili, — powiedziała. — Ale tylko raz.

Arabella spojrzała w taflę jeszcze raz. Zobaczyła swoje oczy. Czyste.

I zrobiła krok.

Nie było błysku. Nie było światła.

Po prostu... **przeszła**.

SCENA: Sala informatyczna, szkoła

Arabella upadła lekko na podłogę — nie z bólu, a z oszołomienia. Światło było inne. Migoczące ekrany, chłód sztucznej podłogi, zapach plastiku i kurzu.

Obok niej pojawiły się Rosalyn i Iris.

Za ich plecami — ściana, która nie powinna była się rozsunąć. Ale zamknęła się powoli. Bez dźwięku.

— To... szkoła? — zapytała Arabella, chwiejnie wstając.

— Tak. Sala informatyczna. — potwierdziła Rosalyn. — Twoja klasa.

— Czy ktoś... zauważył?

— Tak. — powiedział głos.

Z ciemniejszego kąta sali wyszedł Night Shade. W oczach miał niedowierzanie. I coś jeszcze. Nie był pewien, czy śni. Ale nie uciekł.

— Arabella?

— Tak — powiedziała, głosem bardziej miękkim niż kiedykolwiek. — To... ja.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

A potem Night Shade bez słowa odwrócił jeden z monitorów w stronę Arabelli.

— Zobacz.

Na ekranie otwarty był wątek forumowy. Nagłówek:

WĄTEK: „Ktokolwiek widział Arabellę?”

forum szkolne / rodzice i opiekunowie / zaginięcia

Autorka: @MatkaArabelli

Tytuł: *Nie przyszła do domu. Co się dzieje?!*

Treść:

Moja córka Arabella nie pojawiła się w domu od trzech dni.

Szkoła twierdzi, że „wszystko w porządku”, ale nikt nie odpowiada na moje pytania.

Jej szafka była otwarta, rzeczy zniknęły, a ja... nie wiem, co mam robić.

Jeśli ktoś cokolwiek wie — błagam o kontakt.

Ona może wyglądać twardo, ale to tylko poza.

To jeszcze dziecko. Moje dziecko.

Czy ktoś ją widział? Ostatnio rozmawiał?

04:12 | 12 odpowiedzi | 1425 wyświetleń

Arabella wstrzymała oddech. Przewinęła stronę drżącym kopytkiem.

Komentarze — ciepłe i gorzkie. Osądy. Lęki. Echo, które rozpoznawała.

@nauczycielka.alchemii

Pani Arabello, rozumiem zaniepokojenie...

@OjciecJadwigi

Też się martwię...

@kucyk_bez_głosu (uczeń)

Przepraszam, że piszę. Ale ona mnie popychała...

@Rosalyn.Milczenie

...Znikała... kawałek po kawałku. Aż została tylko poza.

@Meadow.Szept

Kiedyś się śmiała, że nasze łzy są tylko bajką...

@Camel (zablokowane konto)

Ten wpis został usunięty przez moderatora.]

@Iris.cienie

Arabella się nie zgubiła. Po prostu przestała odbijać światło...

Arabella stała nieruchomo.

Twarz nie zmieniła się.

Ale w oczach...

— To... wszystko naprawdę? — wyszeptwała. — Tyle osób... widziało?

— Nie widzieli wtedy. Ale widzą teraz. — powiedziała Iris.

— A moja mama...?

— Szukała cię. I nie przestała. — dodała Rosalyn.

— A ten uczeń... — Arabella czytała dalej. — On... pamiętał. Nawet mnie znienawidził. I... miał prawo.

Jej głos się nie łamał. Ale był cichy. Prawdziwy.

— To wszystko... to ja. Ale już nie taka sama.

Night Shade skinął głową.

— To dobrze, że wróciłaś.

— Nie wróciłam. — poprawiła Arabella. — Jestem nowa. Ale... jestem sobą.

Spojrzała na Iris.

— Czy teraz... ja też mogę pomóc komuś zobaczyć siebie?

Iris nie odpowiedziała słowami.

Tylko spojrzeniem.

Bo w oczach Arabelli — po raz pierwszy — nie było lustra.

Było światło.

Epilog I – Światło w kuchni

Drzwi skrzypnęły tak cicho, że nawet zegar nie przestał tykać.

W kuchni paliło się światło. Żółtawe. Zwykłe. Domowe.

Nie światło Galerii. Nie chaosu.

Tylko takie, które zostawia się... kiedy się czeka.

Arabella stanęła w progu.

Nie wiedziała, co powie. Czy coś powie.

Jej grzywa była potargana. Oczy ciche.

Ale wyprostowała się.

Matka odwróciła się od czajnika.

Spojrzała.

I nic nie powiedziała.

Tylko podeszła.

Objęła ją powoli. Bez pytań. Bez warunków.

Jakby wciąż była dzieckiem. Jakby nigdy nie przestała.

Arabella zamknęła oczy.
I wtedy zrozumiała.

To nie lustro dało jej odbicie.
To ona... zaczęła naprawdę *być*.

Epilog II — Ci, którzy Wrócili

FORUM SZKOLNE

Dział: Refleksje / Pamięć / Bez kategorii

Wątek: „**Nie każde lustro boli**”

Założony przez: @Taśka.Wróciłam

Komentarze: otwarte

Status: oznaczenie emocjonalne // nie wymaga moderacji

➤ @Taśka.Wróciłam

Nie pamiętam, który to był dzień.
Może wtorek. Może nie istniał.

Pamiętam tylko, że chciałam zostać niewidzialna.
Bo wtedy nie trzeba nic czuć.

Ale one przyszły.
I ktoś powiedział moje imię tak, jakby pamiętał je naprawdę.

Dziękuję Arabelli, że mnie obudziła.
I Rosalyn, że nie kazała się tłumaczyć.
I Iris, że nie była tylko postacią z bajki.

Jestem.
I już nie chcę się chować.

➤ @Madelyn.Słyszę

Cisza potrafi krzyczeć.
Zwłaszcza wtedy, gdy nie mówisz tego, co trzeba było powiedzieć.

Widziałam. I nic nie zrobiłam.
Ale to też zostaje.

Nie miałam odwagi. Ale teraz mam głos.

Dziękuję Arabelli, że nie uciekła od mojego milczenia.
Dziękuję Rosalyn, że dotknęła mnie, zanim ja sama się odważyłam.
Dziękuję Iris, że w jej oczach nie było oceny.

Jeśli ktoś kiedyś się zawaha, czy powiedzieć „dość” — jestem.
I powiem to razem z tobą.

➤ @Arabella.Odbicie

Nie wiem, jak zacząć.
Kiedyś byłam tą, co patrzyła i nie widziała.
Potem — tą, co patrzyła z góry.
A potem... już tylko udawałam, że nie patrzę.

Ale w Galerii nie da się udawać.
Tam wszystko się odbija — nawet to, co próbujesz ukryć.

Nie chcę być lustrem dla cudzych błędów.
Ale jeśli mogę być lustrem, w którym ktoś zobaczy siebie — zanim będzie za późno...
...to chcę zostać.

Dziękuję tym, którzy mi pomogli wrócić.
I tym, którzy pozwolili mi ich przeczytać.

Nie jestem już tylko echem.

➤ @Rosalyn.Milczenie

Nie byłam tą, która pierwsza mówi.
Byłam tą, która słyszy.

Gdy Taśka wróciła — słyszałam jej śmiech nie przez echo, ale przez serce.
Gdy Madelyn spojrzała mi w oczy — słyszałam swoje dawne milczenie.
Gdy Arabella podała dłoń — usłyszałam dźwięk, którego Galeria nie знаła: przebaczenie.

Nie jestem przewodniczką.
Tylko jedną z tych, które wracają po innych.

Bo jeśli ktoś kiedyś mnie usłyszał — to teraz moim obowiązkiem jest słuchać dalej.

Lustro nie musi być karą.
Może być miejscem spotkania.

➤ @Iris.cienie

Nie muszę już pisać bajek, żebyście zrozumieli.
Bo wracacie sami.

Każdy cień, który odszedł, zostawił we mnie ślad.
Ale wy — zostawiacie światło.

Taśka. Madelyn. Arabella.
Nie uratowałam was.

Wy sami się odnaleźliście.
Ja tylko trzymałam lustro... dopóki nie byliście gotowi spojrzeć.

A teraz... ktoś nowy zapukał.
I lustro znów drgnęło.

Więc jeśli mnie nie będzie w klasie...

Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

@Zeszyt.Szeptów

To jeszcze boli.
Ale boli *inaczej*.
Bo teraz wiem, że to był mój głos.
A nie echo cudzych śmiechów.
Rosalyn... ty nie mówiłaś wiele. Ale twoja obecność była jak cień, który nie zasłania, tylko chroni.
Dziękuję.

@Puste_Odbicie

Iris, wiem, że nie jesteś potworem.
I nie jesteś też bajką.
Jesteś pytaniem, które wraca.
Dziękuję za to, że nie milczałaś — nawet wtedy, gdy cisza była bezpieczniejsza.

@LustroChaosu

z konta niezidentyfikowanego, pojawił się krótko po ostatnim wpisie.

Tylko dwa wybory.
Zawsze dwa.
Spójrz — i zobacz.
Lub spójrz — i zostań.

Jedno z nich boli.
Drugie nie boli *już nigdy*.

Tylko jedno prowadzi dalej.

Czekam.
Nie po to, by cię złamać.
Tylko po to, byś sam powiedział, kim jesteś.

Podpisano: Lusterko
(kopytkiem, którego spirala już nie wiruje — tylko świeci cicho)

Moderator:

Wątek przypięty jako świadectwo.
Brak potrzeby moderacji.
Komentarze otwarte — ale tylko dla tych, którzy chcą widzieć prawdę.